Nr. 28. Kraków, sierpień 1910 r. Rok III.

STRAŻ POLSKA

wspólny organ stowarzyszeń: „Straż Polska“ w Krakowie i „Polska Liga Narodowa“ we Lwowie

wychodzi w połowie każdego miesiąca.

Prenumerata „Straży Polskiej“ na rok 1910 wynosi 3 kor. — dla członków „Straży Polskiej“ i „Ligi“ 2 kor. (z przesyłką pocztową). Numer pojedynczy 30 hal.

Adres Redakcyi: **Kraków, Rynek główny L. 39.**

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: **Kazimierz Bartoszewicz.**

Adres Administracyi: **Kraków, ul. Floryańska L. 1.**

Brońmy Lwowa.

Do krwi ostatniej kropli z żył
Będziemy bronić ducha
— — — — — — — —
Twierdzą nam będzie każdy próg;
Tak nam dopomóż Bóg.
Konopnicka.

Bieżący rok zaznaczył się w naszem życiu narodowem takiem podniesieniem i umocnieniem ducha w piśmie, słowie i górnych manifestacyach, że starczyć go powinno na całe pokolenie.

Słów już nam nie trzeba więcej — jeno wedle sił i możności należy spełniać cośmy wypowiedzieli.

W prastarym grodzie piastowskim u stóp Wawelu, przed pomnikiem króla-zwycięzcy i na wszystkich rubieżach dawnej Polski, głośno lub w ducha skupionego ciszy złożył naród cały doniosłą przysięgę: „Twierdzą nam będzie każdy próg“.

Dowodów, że nie słomiany to był ogień, lecz trwałe ducha odrodzenie, co wykuwać będzie czynów śpiże w realnej, codziennej, szarej pracy, domaga się teraz od nas wszystkich wzmożone poczucie godności narodowej i odpowiedzialność wobec przyszłości.

A więc do realnych działań na każdem polu! aby nie powiedziano, iżeśmy skorzy jeno do wzniosłych deklamacyj, gołosłownych tanich wezwań do społeczeństwa, niekosztownej reklamy, popularyzującej sztandar narodowy.

Przeciwnie, bez hałasu i rozgłosu budować należy podstawy, a przedewszystkiem bronić zagrożonych placówek, przez dzielność i wiekowe zasługi przodków w spadku nam przekazanych.

Cóż ze sztandaru narodowego, gdy usunie się nam z pod nóg grunt realny? Wysoko w powietrze wzniesiony w szarych mgłach marzeniem bezsilnem się rozpłynie, gdy nie oprzemy go silnie na ziemi własnej, okrytej bogactwem przemysłu i zaludnionej samowiedzą narodową.

Upojenia patryotycznej ekstazy chwil uroczystych nie usuną smutnej rzeczywistości, że z winy własnego niedołęstwa ziemia z rąk polskich przechodzi masowo w ręce nam wrogie — syonistów i ukraińców. Bez ustaw pruskich sami się dobrowolnie wywłaszczamy.

Tu trzeba rychłego, należycie zorganizowanego ratunku ze strony ziemian i kapitalistów polskich.

Biedny nasz kraj wysysa moloch wielkiego przemysłu niemieckiego, a pijawki pośrednictwa handlowego najbiedniejsze warstwy narodu wtrącają w bezdenną otchłań najskrajniejszej nędzy.

Tu znów trzeba iść za wskazaniem i przykładami tych, co nawołują wielkim głosem do kooperatywy rolniczej, przemysłowej i spożywczej.

„Oświaty kaganiec“, a jeszcze więcej uświadomienie narodowe trzeba nieść wszędzie bez wytchnienia, bo na nic się nie przydadzą najszczytniejsze idee, gdy masy społeczeństwa rozumieć ich nie będą.

Gdy jednak nawołujemy się do obrony kresów naszych — i słusznie — toć równocześnie nie wolno nam z oczu tracić zadań wewnętrznych — obrony placówek w kraju — pomnąc, że im silniejsi będziemy wewnątrz kraju, tem łatwiej znajdziemy siły i środki na odpór zakusów wrogich, idących z zewnątrz.

Szkicując tylko myśli o ogólnych zadaniach doby dzisiejszej, nie mam zamiaru obszerniej omawiać spraw, o których i więcej i wszechstronniej i lepiej już pisali i pisać jeszcze będą.

Tu pragnąłbym tylko podać do rozważenia jedną myśl, której jeszcze w ubiegłym roku kilkakrotnie dałem wyraz w zarządzie jednego z lwowskich towarzystw narodowych.

Wśród licznych zadań, niepoślednie miejsce zajmuje sprawa o b r o n y   w a ż n e j   p l a c ó w k i, j a k ą   j e s t   s t o l i c a   k r a j u,   L w ó w, przed grożącym zalewem ukrainizmu.

Wiadomo, w jaki sposób Praga czeska, niedawno zupełnie niemiecka, przybrała charakter miasta czeskiego. Uświadomiony narodowo żywioł ludowy czeski, okrążając zwartym pierścieniem siół i przysiołków Pragę — pracą i usiłowaniem niemal jednego tylko pokolenia wciskał się wszystkiemi porami do miasta, dopóki od kuchni, straganów i rębaczy drzewa począwszy nie rozsiadł się zwycięsko we wszystkich instytucyach w całem mieście.

We Lwowie, liczącym do niedawna jeszcze zaledwie 8% Rusinów, wzrasta ten stosunek w sposób przerażający na niekorzyść żywiołu polskiego. Liczne instytucye ruskie działają w tym kierunku jednolicie, planowo, a bez niepotrzebnej reklamy „narodowej“ i hałasu budzącego bezpotrzebnie czujność.

Konsorcya kapitalistów ruskich wykupują najpierwszorzędniejsze parcele, zabudowując je gmachami ruskimi — i maluczko a polski Lwów będzie się przedstawiał jako ruskie miasto.

Ale Lwów, to nie Praga ze swem czeskiem otoczeniem. Okolica w swej olbrzymiej większości jest w rękach ruskich. Ta napływowa ludność zalewa miasto w poszukiwaniu zbytu artykułów spożywczych i rąk do pracy. Stąd osiadają Rusini jako dozorcy domów, służba domowa, miastowa, robotnicy i t. d. Nieuświadomione partyjnie, a tem mniej narodowo, rzesze tego ludu wpadają w mieście odrazu w ręce „wychowawców“ ukraińskich, gnieżdżących się nietylko pod płaszczykiem różnych stowarzyszeń niby oświatowych, lecz także i to głównie w cerkwiach, a nawet i konfesyonałach.

Stąd idzie ogromna nienawiść dla chlebodawców — Polaków.

Ale ta ludność nie jest przejściową, ona tu osiada stale. Z rodziny dozorcy, robotnika, w drugiem już pokoleniu wychodzą Rusini-rzemieślnicy, kupcy, sędziowie, adwokaci i t. d. Jeżeli tak dalej pójdzie, Lwów nieubłaganą siłą logiki i faktów przestanie już w trzeciem pokoleniu być miastem polskiem — a przeistoczy się w miasto syonistyczno — ukraińskie.

Należy temu niebezpieczeństwu przeciwdziałać i to natychmiast. Ale działać roztropnie, z planem i   b e z   h a ł a s u.

Jest to bowiem nie chimera, lecz niebezpieczeństwo realne, co do którego łudzić się nam dłużej nie wolno. To uczucie nie jest obce myślącemu ogółowi polskiemu we Lwowie — ale dopiero po ostatnich hajdamackich występach na polskim uniwersytecie zdecydowała się Rada miejska — o ile mi wiadomo — uchwalić coś w rodzaju samoobrony miasta zapomocą utworzenia biura pracy, w celu sprowadzania polskiej służby do Lwowa.

Na tem poprzestać absolutnie nie można. Bo i najzacniejsze i najenergiczniejsze zarządzenia magistratury miejskiej nie podołają zadaniom, bez współudziału i poparcia całego społeczeństwa.

Pomijając na razie pola działalności, wymagające zrzeszenia się banków i kapitalistów w celu wykupywania okolicznych gruntów, jakoteż parcel budowlanych miejskich, sądziłbym, że najaktualniejszej potrzebie samoobrony zaradziłby się dało niewielkim sumptem, a z nieobliczalnymi na przyszłość korzyściami przez tworzenie   p o l s k i c h   k o o p e r a t y w   s p o ż y w c z y c h   i   p r z e z   s p r o w a d z a n i e   s ł u ż b y   d o m o w e j,   d o z o r c ó w,   d o r o ż k a r z y,   r o b o t n i k ó w   i   t. d.   z zachodniej Galicyi do Lwowa.

Ostatnia zwłaszcza akcya powinnaby bezzwłocznie wejść w życie. Instytucya narodowa, którąby się podjęła w sposób praktyczny, sumienny i należycie zorganizowany przeprowadzenia tego projektu — tym jednym jedynym czynem wysoce patryotycznym a realnym, zdobyłaby sobie niewątpliwie nietylko uznanie ale i wszechstronne poparcie całego społeczeństwa polskiego.

Bez wieców i rezolucyj, założone pod egidą poważnej obywatelsko-narodowej instytucyi biuro koncesyonowane, po przezwyciężeniu początkowych trudności, stałoby się w krótkim już czasie pomnikowem dziełem, godnem roku grunwaldzkiego.

Korzyści ogólne biją w oczy. Wszak tysiące najlepszych sił roboczych wędruje z Mazurów za chlebem za ocean lub do Prus, — a natomiast tysiące zdecydowanych wrogów naszego narodu żywimy polskim chlebem, polskim groszem w naszych domach rodzinnych, instytucyach publicznych, przedsiębiorstwach prywatnych.

Ocknijmy się! Lepiej późno, niż nigdy!

Przez własne niedbalstwo zatruwamy podstawy narodu, ducha rodzinnego. Wszak trudniej stać się silną ostoją idei narodowej temu, kogo w kolebce kołyszą do snu dumki ukraińskie, kogo w zaraniu życia otacza atmosfera piastunek, kucharek i dozorców ukraińskich.

W tej sprawie i na tej placówce liczyć można bezwzględnie na pomoc i poparcie ojców i matek polskich i w ten sposób lwowskie społeczeństwo polskie czynem udowodni, że „chce bronić ducha“ zamieniając na „twierdzę własny domowy próg“.

Bogdan Krzysztofowicz.

Mazurzy w Prusiech wschodnich.

Zazwyczaj sądzimy, że Prusy wschodnie z wyjątkiem Warmii, są zupełnie niemieckie. Tak jednak nie jest. Prócz Warmii, gdzie częściowo zamieszkują Polacy-katolicy, jest 9 powiatów mniej więcej posiadających ludność polsko-mazurską, wyznania ewangelickiego. Według statystyki z r. 1900 na 1,996.625 mieszkańców Prus wschodnich było polskiej ludności 305.025. Cyfra to znaczna, a jednak w przeszłości była o wiele poważniejsza. Już około 1410 r. Polacy stanowili tam niemal trzecią część ludności.

Nie byli oni jednak ludnością tubylczą, bowiem ziemie te zostały skolonizowane przez Polaków, których liczba od roku 1600 wzrastała coraz bardziej tak, że później Prusy książęce, pomimo rządów niemieckich, miały charakter zupełnie polskiej prowincyi. Dowodem, jak liczną była inteligencya polska, świadczy wydawanie w latach od 1718 do 1720 jednej z najdawniejszych gazet polskich: *Poczty królewieckiej*. Wychodziła ona raz na tydzień, obliczona głównie na czytelników z Prus wschodnich. Był to bodaj ostatni objaw swobodnego tam jeszcze rozwoju żywiołu polskiego. Nie stawiano przeszkód naszej kolonizacyi, dzięki potędze Rzeczypospolitej, ale, z chwilą jej upadku, reakcya postawiła tamy.

Pierwsze kroki polityki pruskiej jeszcze były nieśmiałe i miały na celu jedynie przeszkodzenie dalszemu rozszerzaniu się Polaków. W tym celu reskryptem z dnia 24 marca 1724 r. Fryderyk Wilhelm zakazuje używać do kolonizacyi Polaków, Żmudzinów i żydów, a 2 maja tegoż roku zabrania przesiedlać się Polakom na pruskiej Litwie; jednocześnie rozpoczęto kolonizacyę niemiecką, zapomocą której powoli przygotowano supremacyę żywiołu

niemieckiego. Z chwilą rozbiorów Polski, rząd pruski jeszcze bardziej zaostrzył swą politykę.

W roku 1804 postawiono na początek skromne żądania, ażeby w powiatach mazurskich nauczyciele przynajmniej umieli czytać i pisać po niemiecku; następnie zniesiono szkoły polskie po miastach i powiatach o ludności mięszanej, aż do wyrugowania języka polskiego ze szkół i kościołów.

Nie na tem koniec. Rząd pruski, chcąc przyspieszyć zniemczenie Polaków, postarał się przedewszystkiem o usunięcie szlachty, owej jedynej podówczas inteligencyi. Niezadługo nadarzyła się sposobność ku temu, bowiem po wojnach napoleońskich szlachta zalegała z opłatami w Tow. kredytowem królewskiem, a więc można ją było wywłaszczyć. Wykonał to z rozkazu rządu prezes pruskiej prowincyi, baron Schön, udzielając natomiast Niemcom z innych prowincyi zaliczek na bardzo dogodnych warunkach, żeby ułatwić im nabywanie polskich majątków.

Ludność polska, pozbawiona jedynej warstwy inteligentnej, zaczęła stopniowo germanizować się tembardziej, że prócz odcięcia od Polski, różniła się jeszcze wyznaniem, bardziej zbliżającem ją do Niemców.

Życie społeczne każdej z dzielnic Polskich jest zlokalizowane, zamknięte jak w rezerwoarach, tak, że prócz wewnętrznej łączności, innej brak. To jest jednym z głównych powodów zapomnienia o Mazurach wschodnich. Sembrzycki dawniej, a teraz Pankiewicz, a szczególniej W. Kętrzyński starali się na tę sprawę zwrócić uwagę społeczeństwa naszego, ale napróżno.

Jak trudne było uzyskanie książek polskich dla Mazurów, świadczy fakt, iż dziadek Kętrzyńskiego zrobił umyślnie kilka mil drogi, celem dostania „Sebastyana Mądrego". Prawda i to, że niemal w każdym domu mazurskim można znaleść Biblię, śpiewnik kościelny w języku polskim, lecz nie wystarcza to do powstrzymania germanizacyi, którą rząd bardzo umiejętnie prowadzi. Nie narzuca on tam siłą ludowi języka niemieckiego, ale stara się go przekonać o niższości kultury i języka polskiego, zaszczepiając pruski patryotyzm. Germanizacya systematycznie robi spustoszenie. Rząd pruski zwalcza również polskość za pomocą prasy wydając pismo dla ludu mazurskiego p. t *Pruski Przyjaciel Ludu*, gdzie z wściekłym rozmachem hakaty wyszydza przeszłość i historyę naszą, a wychwala dobroć (!) i sprawiedliwość (!) rządu niemieckiego. Tej nagance na ducha polskiego usiłuje przeciwdziałać pismo ludowe *Mazur*, które wszelkiemi siłami stara się podtrzymać ducha polskiego.

Kiedy p. Jaroszyk objął redakcyę *Mazura*, miał zaledwie 40 prenumeratorów, obecnie liczba ich przekracza 400. Jednak ze strony policyi i żandarmów, nauczycieli i urzędników spotyka się on z szykanami, ze stawianiem ciągłych przeszkód itd. Widząc olbrzymi wzrost germanizacyi, p. Jaroszyk ogłosił, że każde dziecko, które napisze do redakcyi list po polsku, otrzyma w nagrodę polską książkę. I oto prawie w każdym numerze *Mazura* można znaleść jeden lub dwa takie listy z podaniem nazwiska i wieku dziecka. Inowacya podobna jest wielce pożądana, jednak stoi na jej przeszkodzie brak funduszów.

A ratowanie Mazurów jest sprawą palącą. Kętrzyński już w 1872 r. w swej broszurze „O Mazurach" zwraca uwagę społeczeństwa polskiego na szybkie postępy germanizacyi, zwłaszcza po miastach, gdzie jeszcze w 1850 r. język polski był w użyciu, a w 1872 r. prawie zupełnie znikł.

Niedawno w Nr. 2 *Zwiastuna Ewangelickiego* z r. 1909 *Mazur* odwoływał się do pomocy społeczeństwa polskiego i prosił głównie o nadsyłanie książek wszelkiego rodzaju.

Wielkie święto Grunwaldu, święto promiennej przeszłości stało się dla nas źródłem wewnętrznej otuchy i bodźcem do pracy. Powinniśmy tedy zwrócić oczy i na tę garść ludu mazurskiego, o który hakata prowadzi zaciekłą walkę z pionierami polskości, chcąc wyrwać mu z piersi mowę ojczystą, by zaszczepić niemczyznę. Od czynów naszych zależy przyszły rozwój życia narodu.

[illegible] Langer.

W sprawie robotnika sezonowego.

Nowy dekret ministra rolnictwa w Prusach, zabraniający polskim rodzinom robotniczym z Królestwa i Galicyi zabierania na czas pobytu za granicą dzieci wogóle, t. j. także niżej lat sześciu, zwraca na siebie uwagę publiczną i przypomina konieczność jaknajszybszej organizacyi wychodźtwa. Społeczeństwo w Królestwie i Galicyi w części zrozumiało już doniosłość tej sprawy, która pod względem politycznym, ekonomicznym i narodowym ma znaczenie bardzo poważne i stara się za pomocą towarzystw i biur uregulować bieg tej fali powrotnej, wynikającej z ogólnego prądu, jak i poszczególnych warunków kraju. Jednakże to, co się czyni dotychczas, nie wystarcza.

Necessitas lex dura — więc chociaż zrozumieć można teoretyczne skargi i utyskiwania ziemiaństwa, chociaż można mu przyznać racyę, że wychodźtwo w zasadzie, jako zło rzeczywiste zwalczać należy, a przynajmniej ograniczyć do *minimum*, jednakże w praktyce trzeba pogodzić się z faktem i starać się, zarówno w interesie ogółu, jak i własnym, aby szkoda była jaknajmniejsza.

Zresztą przegląd sprawy robotniczej całego świata uczy nas, że wychodźtwo sezonowe istniało i istnieje i stało się z biegiem czasu składnikiem ekonomicznym w dziedzinie rozwoju stanu robotniczego.

Przeludnienie, pragnienie większego zarobku, brak pracy dorośnej w domu, dążność złożenia ofiary z własnej wygody na rzecz poprawy losu, głód ziemi, może wreszcie i jakaś żyłka stawistyczna, która wędrowcy spokoju w domu nie daje, pchają masy ludu roboczego na zachód. Wie on, że potrzeba na to zaparcia się siebie, że czekają go niewygody, zatargi z obcymi pracodawcami i warunkami, poniżenia i krzywdy, ale mimo to opuszcza ojczyznę i ciągnie na „saksy". Pociesza go w tem wszystkiem jedna myśl, że wróci z zaoszczędzonym groszem, nabędzie chatę i kawał roli, założy warsztat, lub dzieciom lepszy los zapewni.

Zapomina o stratach. Ponosi je najpierw kraj, któremu ubywa sił, ponosi je i on sam, tracąc moralne i fizyczne zdrowie. Ale że trudno przemocą zatrzymać robotnika w granicach jego ojczyzny, należy dołożyć starań, aby tych strat było jaknajmniej, aby wychodźców ostrzegać i pouczać, aby dać im odporność i możność jaknajlepszej lokacyi zarobionego grosza.

Rząd pruski dba wyłącznie o interes własnego kraju. Aby uniemożliwić robotnikowi polskiemu zrywanie kontraktów, opuszczanie potajemne rolnego pracodawcy, uchylanie się od lichego pożywienia, niezdrowego mieszkania i razów urzędników gospodarczych, czy żandarmów, zaprowadził cały szereg przepisów, wydaje t. zw. karty sezonowe, odmawia robotnikowi prawa odwoływania się do sądów, nie pozwala mu korzystać z praw ubezpieczeniowych i koalicyjnych. Robotnikowi polskiemu nie wolno przebywać rok cały w granicach pruskich, aby nie uzyskał praw obywatelskich w gminie, nie wolno mu wreszcie zabierać dzieci szkolnych, a obecnie niemowląt i potomstwa niżej lat sześciu. Wreszcie kładą władze niższe nacisk na to, aby robotnik zakordonowy, o ile znalazł pracę u właściciela polskiego, nie mieszkał razem z ludem tubylczym, przez co pogłębiają jeszcze istniejący już przedział pomiędzy mieszkańcem rodzimym a pracownikiem sezonowym.

Znane są wreszcie skargi robotników sezonowych na wyzysk ajentów, którzy zazwyczaj przedstawiają mu niemiecką połowę formularza kontraktowego do podpisu. Kładzie więc swe nazwisko pod układ, którego nie rozumie, i przyjmuje warunki niedogodne, przeciw którym protest i interwencya z góry są wykluczone. Ajenci ci rok rocznie zarabiają na pośrednictwie w zakontraktowaniu robotnika dziesiątki tysięcy marek, a w nagrodę za to oszukują go niemiłosiernie. Niejeden upadek dziewczyny, niejedno życie, kalectwo lub uwięzienie robotnika ci nowocześni handlarze żywego towaru mają na sumieniu.

Nie można twierdzić, żeby wychodźtwo wogóle dodatnio wpływało na charakter i etykę ludu z Królestwa i Galicyi. On sam po przejściu kordonu przedstawia materyał co najwyżej średni. Robotnik dobry zawsze znajdzie pracę i utrzymanie w kraju. Opuszcza go pracownik doryweczy, niespokojny, często ograniczony i stąd łatwy do uwie-

---

Bóg wie kto. [1]

(R. 1863).

....A teraz, opowiem z dziejów wiosny owej historyjkę śmieszną.

Jakto, — dziwisz się, — pośród tragedji takiej — śmiech? O, moja droga, życie jest zlepem gliny i marmuru, uplotem sznurów pereł i sznurków korali.

Perłowe gamy śmiechu nad koralową strugą krwi, cień nocy na jutrzni porannej, cień grzechu na szacie anioła, na złotogłowiu łzy, — skaczący i ubielony klown w ponurej celi smutku.

Wszystko bywa i bywa razem, w jednym momencie czasu, — w jednem sercu ludzkiem.

Pewien pisarz słynny ilekroć kreślił słowo: życie, tylekroć obok umieszczał w nawiasie inne: galimatias.

Galimatias taki, że niech już w niem samo tylko oko Boże rozróżnia glinę od marmuru, rdzę która plami płatek białej róży, od spalonego w żarach słonecznych jej serca, śmiechem dzwoniące perły — od sznurów korali, ciekących kroplami krwi....

I to zważ jeszcze, że im serce głębsze, im klawiatura jego szersza i cieńsze, zwinniejsze palce, które klawiszami poruszają, tem częstszemi być w niem muszą spotkania chmur z błękitem, wybielonych klownów z czarnemi smutkami, rdzy z białością, łez ze śmiechem.

* *

Oj, byłyśmy, były za śmiech ten nasz długo gderane! Oj, byłyżeśmy za ten nasz figiel gromione!

Bo i trzeba było młodości bujnej, lekkomyślnej, rozbawionej, rozpieszczonej, aby figla podobnego spłatać; bo i trzeba było szczęścia dużego, aby zań pokuty nie ponieść....

Dziewięć nas wszystkich było i miałby widok ciekawy, a śmiem powiedzieć i — ładny, ktoby nas dnia owego, w tym pokoju i naokoło stołu tego widział.

W początku marca powiedziano nam: robić szarpie i bandaże, szyć koszule jedwabne i konfederatki; a tu marzec końca swego dobiega — i jeszcze nie wszystko gotowe.

Wieleśmy już zrobiły. Żadna z nas już ani jednej szalki albo szmatki jedwabnej nie posiadała, bo wszystkie poszły na te koszule, co to się ich brud i robactwo nie imają. Skrzynki też sporej wielkości — z puchami szarpi, śniegami bielizny różnej napełnione. Ale konfederatki... Zaledwie przed paru dniami barankowe oszycie do nich przywieziono.

Nie nasza wina! Miasteczko dalekie — i nikt w niem dotąd o takich ilościach futerek barankowych ani słyszał. Z większego i jeszcze dalszego miasta sprowadzone spóźniły się, lecz gdy tylko przybyły, wnet we wszystkie strony rozleciały się po sąsiedztwie wici, na pilną, nagłą, wspólną robotę zwołujące.

Przyjeżdżajcie! przyjeżdżajcie!

Stefuniu, Oktuniu, Klemuniu, Maryniu, Wincuniu, Tosiu, przyjeżdżajcie! przyjeżdżajcie i zabierajcie się do szycia!

A może i pani hrabina przyjechać i szyć, szyć z nami zechce?

Naturalnie! — odpowiedziała — z chęcią wielką, z radością!

I śliczną Inkę, pani Teresy ubogiej, ale tak zacnej, córkę, zaprosić trzeba? A jakże! naturalnie! czemużby nie?

Do okrągłej dziesiątki jednej zabrakło, ale ośm przyjechało, a że do mnie przyjechały, więc byłam dziewiątą.

Przyjechały do mnie, bo ja wówczas — oho! — miałam skarb! Skarb ten miałam różany i złoty, który nazywa się miłość ludzka.

Nie wiem, za co. Może za młodość, może za wielką żywość, może za to, że serce nosiłam na dłoni, takie gorące, że strumienie ciepłka dokoła rozlewało — i od tęcz, które w niem grały roziskrzone.

A może to i nie był skarb rzeczywisty, ale tylko w jego rzeczywistość wiara? Już teraz i nie zdołam w tej mojej pierwszej, bujnej młodości rozróżnić, co było prawdą, a co tylko wiarą, jeszcze przez żadne zmienne albo zimne usta nie zdmuchniętą.

Dość, że wówczas, kiedy zaśmiałam się, wszyscy się śmieli, kiedy zapłakałam, wszyscy przybie-

[1]) W chwili śmierci Orzeszkowej wyszedł zbiór jej opowiadań z r. 1863, p. t. „Gloria victis". Wyjmujemy z niego krótki, wdzięczny obrazek.

dzenia. W razie nadużyć ze strony władz lub właścicieli niemieckich trudno z nim spisać protokół, trudno dowiedzieć się prawdy. Przesadza i koloryzuje, a przeważnie opiera się na rzekomych obietnicach ajentów, którym wręcz sprzeciwiają się kontrakty piśmienne. Nie znaczy to, żeby nadużycia się nie działy i to w rozmaitym kierunku, jak co do pożywienia, złego obchodzenia się i przeciążenia pracą. Ale nie należy zapominać, że robotnik sezonowy jest słabszy, niż tubylczy, wycieńczony podróżą i długiem wyczekiwaniem w komorze granicznej, nie przyzwyczajony do pracy intensywnej. Przychodzi do sił dopiero mniej więcej po dwu tygodniach pobytu, a przez ten czas dużo cierpi z powodu swych własnych warunków fizycznych i obcych sobie stosunków lokalnych.

Pruskie biura statystyczne wykazują, że corocznie przeszło trzysta tysięcy robotników i robotnic sezonowych przechodzi kordon graniczny. Najdłuższy ich pobyt w obrębie państwa niemieckiego trwać może 9—10 miesięcy; w wyjątkowych wypadkach za osobnem pozwoleniem władz zakładom fabrycznym wolno ich zatrzymać przez cały rok, nigdy jednakże na przeciąg dwu lat, przez co zyskałby obywatelstwo w gminie.

W granicach dawnej Wielkopolski zostaje zaledwie jedna czwarta wychodźców, reszta ciągnie dalej na zachód, gdzie warunki zarobkowe i mieszkaniowe są lepsze. Kontrakt zawierają na sezon lub cały rok pracy, wynajmują się do specyalnej lub każdego rodzaju roboty. Płacę otrzymuje robotnik w gotówce i naturaljach; wynagrodzenie to przewyższa zarobek w kraju o 25 do 75%.

W zasadzie robotnik sezonowy bardzo jest oszczędny, czuje on się czy u polskiego czy niemieckiego pracodawcy jakoby na przymusowem wygnaniu i myśli ciągle o powrocie do kraju z największą sumą uciułanego grosza. Bismark jednem pociągnięciem pióra wydalił z granic Prus 40 tysięcy ludzi, osiadłych rzekomo na stale w Wielkopolsce. Nie byli to jednakże sami robotnicy tylko. A dzisiaj warunki polityczne i społeczne o tyle się pogorszyły, że i bez banicyi nie wszyscy byliby zostali, a już rzadko który w tych warunkach chciałby nanowo się osiedlić.

Bo i bojkot Polaków znacznie jest intensywniejszy i konkurencya daleko silniejsza. Wówczas nie myślał przecież jeszcze rząd pruski o systematycznem osiedlaniu robotnika niemieckiego, któremu i komisye kolonizacyjne i prywatne spółki parcelacyjne nadają lub wydzierżawiają parcele, byle go tylko w polskich dzielnicach utrzymać. Wreszcie i obostrzone przepisy w dziedzinie zarobkowości i ustawy zabezpieczeniowe i ucisk szkolny dla indywidualności mniej zahartowanej i odpornej byłyby tak nieznośne, że z prawa wolnego osiedlenia się napewno nie wieleby jednostek chciało korzystać. Nie zapominajmy, że robotnik sezonowy stoi u nas poniekąd poza ustawodawstwem ogólnem, a ostatni szkopuł co do jego dzieci, ich choroby lub kalectwa w granicach Prus, najnowszym dekretem ministeryalnym został usunięty.

Wychodźca zarobek swój wysyła częścią do kraju, rzadziej składa go w depozycie na miejscu, częścią zatrzymuje przy sobie; w każdym razie nie oprocentowuje go należycie, naraża na kradzież lub stratę. Dość znaczną część zostawia przed powrotnem przejściem granicy przeważnie u wrogich żywiołowi polskiemu handlarzy; obliczono, że na ubrania, bieliznę, obuwie i stroje rok w rok, płaci w granicznych miastach Prus najmniej półtora miliona marek, polski kupiec zarabia z tego małą tylko cząstkę.

W zetknięciu się z obcym wychodźca raczej traci, niż zyskuje moralnie. Do ojczyzny przynosi tandetę i szych wyższej cywilizacyi, obojętność w sprawach religijnych i wszelkie złe nałogi swego tymczasowego otoczenia. Wynika to przeważnie z braku dostatecznej opieki duchownej, chociaż w tym kierunku starania i wysiłki duszpasterzy wielkopolskich wzrastają stale, jednakże brak książek i gazet jest jeszcze dotkliwy, zwłaszcza, że wychodźca nawet w stronach polskich jest zawsze odosobniony. Tubylec nie lubi go przeważnie ze względów materyalnych, widząc w nim niebezpiecznego współzawodnika, który mu pracę zabiera i ceny jej obniża.

Powyżej nakreślone zabiegi ustawodawstwa pruskiego dążą do ograniczenia wychodźtwa, tego koniecznego, lecz chwilowego zła, w opinii landratów i ministrów. Przepisy pruskie schodzą się pod niejednym względem z życzeniami polskich właścicieli ziemskich, którzy n. p na ogół względem czerwonych kart legitymacyjnych, utrudniających ucieczkę, lub zerwanie kontraktu, przychylne zajęli stanowisko, więc zwrot najnowszy wobec wychodźców wreszcie i tym ziemianom i kołom w Królestwie i Galicyi będzie na rękę, którzy z zasady ruch emigracyjny zwalczają.

Na razie istnieje on jednakże i nie tak rychło ustanie. Komu zaś ogólne dobro społeczne jest drogie, kto raz działał na niego umoralniająco, pragnie użyć doli robotnika sezonowego i jego zarobek w korzystne dla kraju chce skierować tory, temu nowy dekret ministra pruskiego winien być pożądanem przypomnieniem ważnej i palącej tej sprawy

Organizacyę w głównym zarysie należałoby może urządzić w ten sposób: zakłada się centralę, która za pośrednictwem pism zawodowych w zaborze pruskim ogłasza lub rozszerza schemat zamówienia na robotnika sezonowego. Kwestyonaryusz ten zawiera pytania i odpowiedzi na temat: czasu, liczby i rodzaju robotnika, dalej płacy w gotówce i naturaliach, odległości i kosztów podróży od granicy, wreszcie dalszych warunków i uwag. Na wczesne zamówienia powiatowi mężowie zaufania nadsyłają zgłoszenia, a pograniczne biura załatwiają przewóz, dostarczają kart legitymacyjnych i dalsze załatwiają formalności. Centrala mogłaby być zarazem depozytową kasą zarobków i oszczędności. Z biegiem czasu, przy prawidłowej i systematycznej pracy centrala otrzymywałaby nietylko zamówienia od polskich właścicieli, korzystaliby z nich również chętnie i skwapliwie odbiorcy niemieccy, a robotnik, idący do niego, wiedziałby przynajmniej, dokąd i na jakich warunkach się udaje.

Biuro przy ściąganiu miernych opłat od chlebodawców i pracobiorców, daleko niższych, niż pobierają ajenci — utrzymywałoby się zupełnie — niemniej i stacye graniczne.

Korzyści, które osięgałoby się pod każdym względem, mówią za siebie Dość wreszcie wskazać niemieckie centralne biuro w Poznaniu, do którego z konieczności zwracać muszą się Polacy.

Poznań. *Tadeusz Jaworski.*

Pamiętniki z r. 1863
Kazimierza Sokalskiego, żuawa z pod komendy Rochebruna.

Bo kto wszystko za kraj stracił,
Kto ojczyźnie służył szczerze,
Ten spokojny i w Sybirze —
Bo część długu już odpłacił.

Ze śpiewów Janusza.

Ś. p. ojciec mój, Antoni, urodzony w r. 1801 w Goździu krzeszowskim, w powiecie biłgorajskim w guberni lubelskiej, wówczas do zaboru austryjackiego należącej, wstąpił do wojska narodowego i służył w 3-cim pułku ułanów na kasztanowatych koniach, pod pułkownikiem Michałem Korytowskim, w szkadronie Klaczyńskiego, w dywizyi jenerała Kickiego.

Z bratem swoim Maciejem, pod Ostrołęką poległym i z bratankiem Szymonem, uczniem gimnazyum rzeszowskiego odbył kampanię 1831 roku. W bitwie pod Grochowem dnia 25. lutego, leciał w szarży na kirasyerów księcia Albrechta, nieśmiertelnymi zwanych. W pełnej dywizyi ułanów naszych szarżował w dniu 26. maja pod Ostrołęką na 60 tysięczny zastęp rosyjskiej piechoty, w jedną olbrzymią masę na lewym brzegu Narwi zbity, a następnie po wielu bitwach i potyczkach, po rozwiązaniu armii tak bitnej, tak nieszczęśliwej, z korpusem jenerała Romariny, w dniu 28. września pod Chwałowicami wkroczył do Galicyi, gdzie korpus rozbrojony i przez wojsko austryjackie otoczony, przebywał kilkudniową kwarantannę.

Ojcu mojemu, wraz ze swym kolegą z tegoż pułku, Janem Witalisem, udało się pod osłoną jesiennej nocy przedrzeć się przez kordon austryackich żołnierzy i ujść w miejsce bezpieczne. Lasami i polami idąc, dostali się obaj do Zołyni w powiecie

---

gali pytać: Czego? czego? kiedy oddalałam się, wszyscy wołali: nie odchodź, a kiedy zawołałam: przybywajcie! wszyscy przylatywali.

Przez całe przedpołudnie — powóz za powozem, powozik za powozikiem — przed ganek domu zajeżdżają.

Oktunia, zgrabna jak ułana, w amazonce i kapelusiku z piórkiem, jak z angielskiego sztychu zdjęta, konno przyjechała.

Pani hrabina, piękna, silna brunetka, jedną historję tragiczną za sobą, a drugą przed sobą mająca, dziś wyskoczyła z karety, śmiejąc się i czarne błyski dżetów, które suknię jej okrywały, na wszystkie strony rozsiewając.

Inkę matka przysłała wózkiem jednokonnym, przez chłopa w baraniej czapie powożonym.

Niewiele przed południem wszystkie byłyśmy już zgromadzone w różowym pokoju.

Salonik nie duży, do większego przylegający i taki różowy, jak młodość moja. Na różowość młodości mojej poczynały wypływać nieśmiało jeszcze pełzające lub szybko przelatujące chmurki, ale w pokoju firanki u drzwi i okien, obicie na sprzętach, arabeski na ścianach — różowe. Tylko przez dwa okna, z za festonów firanek, szare niebo marcowe i szara mgiełka marcowego deszczyku zaglądały, sprzeczając się z kwiatami. Bo tu i ówdzie, na gzemsie kominka, na etażerkach, stołach, pomiędzy białemi kolumienkami, zdobiącemi biurko staroświeckie, w wazonach i wazonikach — rośliny kwitnące. Oprócz kwiatów, na gzemsie kominka jest jeszcze kot czarny, który u ram wielkiego, męskiego portretu w kłąb zwinięty, śpi aż chrapie. Przez okna, w szarej mgiełce widać drzewa, drzewa, drzewa, a ponieważ bezlistne są jeszcze, więc śród nich ciemne od wilgoci szlaki alei, alei, alei....

Ciasno dziś w różowym pokoju. Przeciwko zwyczajowi, pośrodku stoi długi stół, a dokoła stołu, na dziewięciu różowych krzesłach siedzimy wszystkie dziewięć, różowe, od powitań serdecznych i serdeczniejszego jeszcze nad nie zapału.

Na wysokich poręczach krzeseł, już i wówczas staroświeckich, na kanapie rozłożystej, na bocznych stolikach — etażerkach, biurku — rozwieszone, rozłożone materjały wełniane trzech kolorów. Białość, amarantowość i szafirowość.

Pokój wygląda jak wielkich rozmiarów sztandar narodowy. Pstro i pełno. Tak pełno, że ilekroć która z nas wstanie i po pokoju się obróci, tylekroć coś białego, amarantowego, lub szafirowego zkądciś ściągnie i za sobą pociągnie, a inne przestrzegają: Ostrożnie! Kaszmir splamić się może! Bo z kaszmiru tych trzech kolorów szyją się konfederatki. Jak w nich partja ładnie wyglądać będzie!

— Jak łan kwiatów! — poetyzować zaczynam.

— Jak maki, z bławatkami zmieszane — rumienię się i z cicha poetyzowanie kontynuje Stefunia.

Mężatką już jest od lat kilku i panią dużego, bogatego domu, a nic jeszcze nie zdołało, choćby o pół tonu, podnieść skali jej nieśmiałego głosu, ani od częstych rumieńców ochronić twarzy — białej wśród bardzo czarnych włosów.

— Nie jak maki, ani żadne inne kwiaty, ale — jak wielki trzykolorowy sztandar wyglądać będą!

Słowa te, z szerokim giestem ramienia wymówiła najwyższa z pomiędzy nas wzrostem i oczy najsmutniejsze, a czoło najbledsze mająca Klemunia Koniecka. Najpoważniejszą też z pomiędzy nas była może dlatego, że najstarszą, bo miała już lat aż 25. Z drugiego końca — cyfra wieków naszych zamykała się ośmnastu latami ślicznej Inki.

W pokoju pstro, ale na nas patrociny żadnej niema, o, nie! Żałoba narodowa. Suknie czarne, ozdoby z dżetu lub polerowanej i kunsztownie wyrabianej stali. Włosów tylko cała gama: od kruczo czarnych, przez różne odcienia złota, do jasnych jak len.

Zrazu duży był gwarek głosów. Oglądanie materji, chwalenie, ganienie, narady, zwrócone do mnie zapytania.

— Ile ich uszyć mamy?

Krótko, lecz z dumą odpowiadam.

— Sto.

Aż krzyknęły.

— Tak wiele!

— Daleko więcej trzeba. Części tylko podjęłam się za siebie i za was.

— A no, dobrze! Zrobi się! Szkoda nawet, że nie więcej. Zawiniemy się i dzień, dwa, trzy....

— Tydzień, dwa! — reflektuje Klemunia.

— Niech sobie i tydzień albo dwa! Kamieniem zasiądziemy i będziemy szyć, szyć, szyć....

Zaczynajmy tedy! Dobrze, ale, nim szycie rozpocząć, skroić wprzód trzeba. Według formy —

łańcuckim, gdzie mojego ojca brat najstarszy był proboszczem.

Władze tamtejsze, prawdopodobnie przez wpływy hr. Potockiego, właściciela tych dóbr, nie utrudniały pobytu obu rozbitkom w Żołyni osiadłym.

Później przeniósł się ojciec mój do Trzeburki, gdzie u hr. Rafała Grocholskiego, swego towarzysza broni, przyjął obowiązki rachmistrza, klucza sokołowskiego. Po wywiezieniu Grocholskiego przez władze austryjackie po za granicę monarchii, majątek cały wydzierżawiła kuratorya i ojciec mój zmuszony był przenieść się do dóbr księcia Adama Czartoryskiego, byłego prezesa rządu narodowego, do Sieniawy.

Ożeniony z Fryderyką z Korabiów Chrzanowskich miał trzech synów: Romana, Kazimierza i Eustachego. Pierwsze wychowanie nasze na tle religijnem miało charakter patryotyczny.

Od pierwszej młodości naszej, bo już w dzieciństwie, wszczepiał w nas ś. p. ojciec bezgraniczną miłość ojczyzny, przygotowywał nas na przyszłe boje i do czynów heroicznych.

W czasie długich wieczorów zimowych opowiadał nam szczegóły całego szeregu bitew, w których czynny brał udział aż do ostatniej bitwy, stoczonej pod wsią Borem nad granicą galicyjską.

Świetne bitwy pod Stoczkiem, Wawrem, Grochowem i Wielkim Dębem, gdzie blask nadziei opromienił kraj cały, aż do ponurego zmroku Ostrołęki i aż do rozwiązania wielkiej armii, napawały nas małych żądzą czynów w przyszłości i odwetu za niepomszczone błonia nad Narwią i Bugiem.

Ojciec mój opowiadania swe kończył zawsze tem, że Bóg pozwoli mu nie na łożu boleści w spokoju, ale kiedyś w bitwie zginąć. Bóg też wysłuchał tych często powtarzanych pragnień. Te opowiadania i te ostateczne pragnienia tak na mnie małego oddziałały, że już w czasie wojny krymskiej w 1854 r., mając rok dwunasty, nosiłem się z myślą udania się do Turcyi i zaciągnięcia się tam w szeregi formującego się wojska polskiego. Towarzysza dziecinnej tej wyprawy nie mogłem znaleść i wreszcie dla braku odpowiednich środków zmuszony byłem pozostać w domu.

Zwycięztwa mocarstw w wojnie krymskiej, a w cztery lata później we Włoszech, napawały mnie nadzieją, że i dla nas się rozwidni, że kiedyś według przepowiedni księdza Marka, karmelity berdyczowskiego i ukraińca Wernyhory, które z pietyzmem odczytywałem, naród polski powstanie i walczyć będzie, tak liczny, jak drzewa litewskich borów.

Wierzyłem w to święcie, że naród polski utraconą wolność i niepodległość odzyska, do czego Anglia i Francya się przyczynią, a Turcy przyjdą konie poić w Horyniu.

Z mego punktu widzenia inaczej sprawa polska ukształtować się nie mogła i nie powinna.

Wypadki kwietniowe 1861 r. i krew przelana na ulicach Warszawy, tak wpłynęły na moją wrażliwą duszę, że ścisnąwszy silnie pięści o niczem innem nie myślałem, jak tylko za krzywdy doznane z bronią w ręku wystąpić na wroga.

Od tych to właśnie ostatnich wypadków nasza młodzież gimnazyalna, w połączeniu z rzemieślniczą, poczęła urządzać potajemne schadzki, naradzać się i obliczać. Byłem na ten czas w gimnazyum tarnowskim i jako primus inter pares rozpocząłem wraz z innymi propagandę ścisłego obliczania się Przyszedłem do tego optymistycznego przekonania, że wszystkie stany, szlachta, mieszczaństwo i lud wiejski na odgłos powstania narodowego zerwą się do czynu i z bronią w ręku walczyć będą, że wreszcie Francya, która niedawno Włochy wyswobodziła i nam ze zbrojną przyjdzie pomocą i przyjść musi. Polacy wewnątrz kraju od Wisły i Bugu walczyć będą, gdy tymczasem armia francuska od zewnątrz ze zbrojną przyjdzie nam pomocą i w końcu jednego Moskala nie stanie na polskiej ziemi po wszystkie wieki.

Dziewiętnasty rok życia mojego był właśnie okresem największych porywów i poświęceń, a mierząc każdego swoją miarą, przypuszczałem śmiało, że wyswobodzenie kraju i jego późniejsze ukształtowanie się jest tylko kwestyą czasu.

Młodzież gimnazyalna w Tarnowie, organizowała się i obliczała w ten sposób: Ustanowiła setnika, ten ustanawiał dziesiętników, a każdy dziesiętnik zebrał dziesięciu. Takich to dziesiętników razem wziąwszy było trzynastu.

Młodzież gimnazyalna przygotowując się do zbrojnego ruchu, urządzała schadzki i ażeby nie zwracać na siebie uwagi władz miejscowych, posiedzenia swe odbywała zawsze w nocy i to każdym razem w innym domu i w innej części miasta. Takie zebrania zabezpieczało i strzegło z kolei po dwóch członków sprzysiężonych. Za zbliżeniem się w tę stronę kogoś podejrzanego, po trzykrotnem stuknięciu w okno, jako znaku umówionym, natychmiast światło gaszono, a papiery i przybory wojenne pod sienniki w łóżka chowano; to też przez czujność i może przesadną ostrożność, nigdyśmy nie przyszli do kolizyi z władzami.

Cały zatem ruch, a właściwie przygotowania do ruchu zbrojnego, spoczywało w rękach młodzieży gimnazyalnej. Na zebraniach swych, uchwalała ona i redagowała różne postanowienia i przesyłała je innym gimnazyom, lub też od nich uchwały odbierała i komunikowała je ogółowi. Również zajmowaliśmy się czytaniem regulaminów wojskowych, dalej odlewaniem kul z ołowiu zakupionego i wyrabianiem ładunków. Czynności takie odbywały się bez współudziału młodzieży rzemieślniczej, a to tylko z obawy zdradzenia sprzysiężonych. Oprócz tego ćwiczyliśmy się w strzelaniu do celu, do przedmiotów toczących się po ziemi, lub w powietrze rzucanych. Do tych ćwiczeń wybraliśmy miejsce pomiędzy Gumniskami a górą św. Marcina, na terytoryum księcia Sanguszki, bo tu ze strony zarządu nikt nam przeszkód nie czynił.

Po półrocznej takiej pracy przygotowawczej, w czasie której z własnych funduszów kupowaliśmy broń palną i sieczną, a nawet kosy. każdy z nas był gotów do zbrojnego wystąpienia na pierwszy wybuch powstania, które w blizkiej przyszłości przeczuwaliśmy. Dat stanowczych jednak nie mieliśmy żadnych. Tylko jeden z naszych kolegów, Tadeusz Skałkowski z Królestwa pochodzący, lekki kontakt między nami a młodzieżą zakordonową utrzymywał.

I tak bez żadnych przeszkód wyczekiwaliśmy chwili stanowczej.

Idąc we czwartek rano 25. stycznia do szkoły, na progu gmachu gimnazyalnego spotkałem się z Tadeuszem Skałkowskim; ten przemówił do mnie „wróć się po oręż! stało się, stało!“ Odskoczyłem od gimnazyum popchnięty wewnętrzną burzą i pędziłem w Nowy świat, na Strusinę, Ogrodową ulicę, na Burk, Zabłocie i wpadłem do fabryki i odlewarni machin rolniczych pana Eliaszewicza. Byłem zupełnie nieprzytomny i dopiero po ocuceniu się i ochłonięciu zawiadomiłem, że Królestwo w powstaniu. Pan Eliaszewicz, niegdyś żołnierz z pod komendy Karola Różyckiego, dał mi odpowiednią odprawę i naukę, po której uspokojony poszedłem do komisyi półrocznego kursu szkolnego.

Dnia 29. stycznia wraz z kolegą Hipolitem Przybytniem, później w Sandomierskim pod Jurkowicami poległym, udałem się do Rzeszowa w celu ostatecznego porozumienia się z tamtejszą młodzieżą co do wyprawy, a jednocześnie i do rodziców w Żołyni wówczas mieszkających. W Rzeszowie w domu Romana Spitzera, później profesora szkół realnych w Krakowie, zastałem istny dom werbunkowy. Młodzież gimnazyalna i rzemieślnicza tam się schadzała, strzygła, ubierała i uzbrajała. Zastałem tam dwóch profesorów, którzy w doraźnej organizacyi pomagali i następnie w pochód wyprawiali.

Przybyliśmy na pożegnanie do Żołyni. Ojciec mój po przywitaniu rozkazał mi, abym temi samemi końmi, jakiemi przyjechałem, po popasie wrócił skąd przybyłem i abym w Tarnowie w sobotę w południe wyczekiwał go na kolei, gdyż on z nami pójdzie i sam nas poprowadzi. Słowa te zrobiły na mnie wielkie wrażenie, bom się wcale nie spodziewał, aby ojciec w tym wieku mógł to uczynić.

Po powrocie do Tarnowa opowiedziałem młodzieży, że ojciec z nami pójdzie do powstania. Młodzież nasza przyjęła wiadomość tę z pewnem niedowierzaniem, bo ojciec mój liczył wówczas 63 lat, jednakowoż w sobotę wyszła gremialnie do pociągu kolejowego, a skoro ojciec wysiadł, zabrawszy paczkę z bronią i inne pakunki, odprowadziła nas do krakowskiego hotelu, gdzie przybył końmi pan Eliaszewicz i zabrał do siebie ojca i nas wszystkich.

---

tej oto! Która najlepiej kroić umie? Wincusia umie! Oto nożyce; prawdziwie krawieckie, doskonałe!

Rosła, zgrabna, hoża, stalowemi szpilkami u szyi, pasa i włosów błyskająca Wincusia, w odważnej i raźnej postawie u stołu staje, materje przed sobą rozkłada i — czach, czach, czach!

Okazuje się, że nieosobliwie umie. Już parę kawałków kaszmiru zepsuła, lecz to jeszcze mała bieda.

Dużo go jest, więc choćby go trochę i napsuła.... Ale baranków, wiecie co, że baranków zdaje się... mało...

Westchnienia trwożne.

— Tak, tak, bardzo ich jakoś mało! Broń Boże, nie wystarczy.

Wincusia tonem żałosnym:

— Boję się! niech kto inny....

Ba! łatwo powiedzieć! ale kto?...

— Może pani hrabina umie?

Wstrząsnęła się przecząco, tak, że aż czarne błyski dżetów dokoła siebie rozsypała.

— Jak żyję, nie kroiłam nic!

— Oktuniu! może ty....

Amazonka, igłę z nicią przez kaszmir przewlekając i głowy jasnozłotej z nad roboty nie podnosząc, głośno na cały pokój, na nutę słynnej wówczas arji: „Rachelo, kiedy Pan, w dobroci niepojęty“ — zaśpiewała i zatrelowała.

— Nie u-miem — nie u-miem — dajcieee-mi święęę-ty — pooo-kój!

Marylki Jaroszyńskiej zawołać, panna służąca to jest, której trzej bracia do partji idą. Ufać jej można, jak zresztą całej służbie.

Przywołana wbiegła. Sukienka w żałobne kratki, głowa w loczkach, żywa, fertyczna, śmiała. Dowiedziawszy się o co chodzi, okiem znawczyni futerka barankowe, siwe i białe, obejrzała, poczem ze wzruszeniem ramion:

— I to ma do stu czapeczek wystarczyć, jeszcze takich kwadratowych! Żarty chyba! Ledwie może do sześćdziesięciu wystarczy.

— Jezus Marja! Co ty wygadujesz, Marylko!

— Bóg wie, co pleciesz!

— Nie znasz się!

— Nieszczęście przepowiadasz...

— Tu żartów niema! To byłoby nieszczęście!..

— O nowem sprowadzaniu ani myśleć!...

— Gdzież tam! czasu już niema....

— Kraj, Marylko! Zaczynaj krajać! Zobaczysz, że wystarczy....

Ręce błagalnie złożyła i głosikiem cienkim zawołała:

— Boję się! Jak mamę kocham, nie wystarczy, a potem panie powiedzą, że źle wymiarkowałam i że to moja wina!

Nic tak łatwo do pasji doprowadzić nie może, jak strach. Strachem zdjęła mię przepowiednia Marylki, więc wpadam w pasję i nie wołam już, ale krzyczę, wprost krzyczę.

— Pani Czernickiej tu poproś. Powiedz, że prosimy bardzo, żeby tu przyszła!

— Czernickiej! Czernickiej! Powtarza za mną chór kilku głosów, a inne wołają:

— Czernisi! Czernisi na ratunek zawołać!

Żona to nadleśnego, w oficynie mieszkająca z mężem i z synem jedynakiem, którzy obaj do partji iść mają. O, ta na wszystkiem zna się! Gdy idzie o gospodarstwo i wszelkie inne takie rzeczy, wszystko robić umie i robi gorliwie, sumiennie.

Wchodzi. Wysoka taka, że my przy niej liliputki, a taka od góry do dołu cienka i równa, że nić gładko wyprzędzioną przypomina. U szczytu główka mała, z małą twarzyczką żółtą i małemi oczkami czarnemi, a z tyłu głowy ubożuchny warkoczyk, spiralną linią sterczący nad włosami, tak wygładzonemi i błyszczącemi, że zdaje się być bardzo obcisłym czepeczkiem z czarnego atłasu. Czarną suknię na sobie ma i na czole pod czarnym atłasem włosów zmarszczki bardzo sympatyczne, bo o jakichś poczciwych troskach i trudach opowiadające, wyraźnie opowiadające.

Ciekawie na nas i na robotę naszą spogląda i, wezwaniem uradowana, z uśmiechem kłania się na wszystkie strony. A z naszej strony zgiełk wykrzykników:

— Czernisiu, ratuj! Oto baranki!.. Sto konfederatek uszyć! Zmiłuj się, zrób tak, aby wystarczyło! Popatrz, pomiarkuj, wymierz, skrój!

Patrzała, miarkowała, na wszystkie strony baranki obracała, milcząc. Zły znak, że milczy. Żaden grek w obraz Pytyi trwożniejszego wzroku nie wlepiał, niż nasz był w tej chwili.

— Cóż? Jak pani Czernicka o tem myśli?

— Co myślisz, Czernisiu?

A ona z zastanowieniem i tonem uroczystym odpowiada.

W kilka dni później opuściliśmy Tarnów, i z pierwszą ekspedycyą 56 ludzi liczącą, przez Kraków zdążaliśmy do Ojcowa, gdzie właśnie Kurowski organizował zbrojny swój oddział.

Wnet za nami przyszła z Tarnowa druga partya młodzieży i tak utworzyliśmy kompanię strzelców tarnowskich pod komendą Antoniego Umy, oficera wojsk austryjackich.

Ojciec mój, wstępując do oddziału, wymówił sobie u dowódcy, aby dla swego wieku był całkiem wolny, to jest żadnych rozkazów nie dawał i żadnych nie słuchał i tylko, aby mu wolno było w boju przy nas stanąć i razem bić Moskali. Dowódca na warunek ten przystał. Trzymaliśmy się więc razem: ojciec, ja i moi bracia. Ćwiczenia, mianowicie zwroty i obroty, kapitan nasz odbywał z nami. Ćwiczeń z bronią nie robiliśmy żadnych, bo chociaż zwaliśmy się strzelcami, uzbroiliśmy się w kosy i zaledwie co dziesiąty z nas w broń myśliwską był zaopatrzony.

W południe dnia 16. lutego, po rozdanym obiedzie, nastąpił wymarsz przez miasteczko Skałę na Miechów. Około północy stanęliśmy we wsi Czaple, a wypocząwszy dwie godziny, gościńcem murowanym zdążaliśmy do Miechowa.

Noc była bezksiężycowa, trochę widna od niewielkiej ilości śniegu.

W drodze patrol kozacki spotkał się z naszą przednią strażą, a po wymianie kilku strzałów uciekł w stronę Miechowa i dał znać o naszym pochodzie, bo nad ranem, około godziny czwartej zobaczyliśmy rakiety sygnałowe w górze na tle ciemnej nocy.

Wiedzieliśmy dokładnie, że wkrótce zawrze bój z całą swą okropną okazałością. A żeśmy byli zmęczeni bezsennością i długim a nużącym pochodem, staraliśmy się otrzeźwić. Jedni z nas przecierali oczy śniegiem, inni tarli je soczystemi skórkami cytrynowemi, aby tylko przyjść do zupełnej przytomności.

Na wiorście trzeciej pod Miechowem poczęliśmy się do boju szykować. Nasze oddziały rozpuszczono w długie łańcuchy tyraljerskie. Kompania nasza w szeregi ustawiona, pozostała na głównej szosie i w zwartej kolumnie postępowała naprzód, tworząc niejako oś ruchu i centrum pozycyi. Dalszemu pochodowi naszemu, który trochę później w szalony bieg się zamienił, towarzyszyły syki czy też szepty przelatujących kul moskiewskich.

Siłą rozpędu biegnąc, zatrzymaliśmy się pod cmentarzem, gdzie Moskale za nagrobkami stojący razić nas poczęli. — „Na lewo i na cmentarz!" huknęła komenda kapitana Umy. Z cmentarza i z za kościółka cmentarnego wnet wyparliśmy Moskali ku miastu. Przy tym ataku rozproszyliśmy się pomiędzy nagrobki i tu straciłem łączność z ojcem i braćmi mymi. Biegnąc z cmentarza do miasta, pod stodołą na rogu drogi stojącą, spostrzegłem trzech Moskali; dwóch z nich leżało na ziemi, zaś trzeci z przeciętą głową siedział i przeraźliwie krzyczał o pardon prosząc. Za sobą usłyszałem głosy nawołujące, aby Moskala dobić. Miałem już kosę skierowaną w jego piersi. Myśl szybka, a poważna powstrzymała rękę moją od ciosu strasznego i tylko odebrałem mu karabin z bagnetem i ładownicą skórzaną, ładunkami wypełnioną. W tej chwili kosę moją porzuciłem, a uzbrojony w zdobytą broń, wpadłem z wielu innymi w ogrody, wysokimi parkanami otoczone.

Tu Moskale z okien poblizkich domów na cel nas brali, trzeba było z tego miejsca się wydostać, — dalej więc przez parkany, bo na razie ani furtki, ani bramy nie można było odnaleźć. Ten, który nie mógł odrazu parkanu przeskoczyć, spadł zabity lub raniony. Zdobyty karabin wraz z ładownicą przerzuciłem pierwej, a uchwyciwszy się górnych desek parkanu, jak zgrabny akrobata, jednym ruchem przeskoczyłem na drugą stronę. Tu zobaczyłem scenę przerażającą. Nasi długiem a bezkształtnem pasmem snuli się na całej linii, cofając się i idąc w rozsypkę. Podążyłem i ja za nimi, a po drodze wszystkich znajomych zapytywałem, czy ojca mojego i braci nie widzieli.

W obawie biegłem od znajomych do znajomych, od fury do fury, aż na jednym wozie zobaczyłem mego brata młodszego Eustachego, a na moje zapytania: gdzie nasi? odpowiedział, że ojca nie widział i nic o nim nie wie, a Roman, brat nasz najstarszy, ciężko raniony, przywalony rannymi, leży na spodzie poprzedniej fury. Zaledwie na tym wozie mogłem brata odnaleźć, bo to była jedna sterta ciał ludzkich.

W pół godziny później spostrzegłem od miasta idącego ojca i pobiegłem powitać go zdrowego i całego. Szliśmy drogą przy wozach rannymi wyładowanych, które trzeba było popychać, bo konie uciągnąć nie mogły, a tu tymczasem kozacy po obu stronach szosy oskakiwali nas. Brat Eustachy zażądał odemnie karabinu nabitego, aby do kozaka za zbliżeniem się strzelić, ale kozacy zabezpieczali się znacznem od nas oddaleniem. Tak doszliśmy do jakiegoś folwarku, gdzieśmy rannych znosili w celu dania im pierwszej pomocy lekarskiej.

Z kompanii tarnowskich strzelców, oprócz kilku rzemieślników, poległo trzech studentów: Izajasz Kryński przyjaciel i towarzysz pierwszej mojej młodości, Wójcicki i Latinik. Rannych było więcej: Bolesław Koler, Feliks Kudełka, Kazimierz Okaz, Tadeusz Skałkowski dwa razy w piersi i Franciszek Szczepanik, obaj moi bracia i kilku rzemieślników z Tarnowa (C. d. n.).

Wezwania Polskiej Ligi Narodowej.

Jednem z najdonioślejszych zadań tego towarzystwa narodowego jest szerzenie zdrowych zasad życiowych wśród Polaków, bo tą głównie drogą możliwem jest podniesienie dzielności życiowej jednostek naród tworzących, a tem samem siły i żywotności narodu.

Zasady takie przemawiać powinny jasno, krótko a dobitnie do rozumu i woli rodaków, zachęcać do nieustannego spełniania obowiązków a zwalczania wad narodowych, skłaniać wszystkich do rozmyślań, do dyskusyi i co najważniejsza do praktycznych ćwiczeń postępowania w myśl zasad za dobre uznanych.

Towarzystwo P. L. N. ujęło najważniejsze dla nas zasady życiowe w krótkie wezwania narodowe, z których kilka dla wyjaśnienia ich istotnej treści omówimy.

1. Pamiętaj o moralnych i materyalnych obowiązkach narodowych. Strzeż praw naszych sumiennie na każdym kroku.

Naród, znajdujący się w tak okropnych stosunkach politycznych, jak nasz, istnieć może tylko wtedy, gdy większość jego członków poczuwać się będzie zawsze do obowiązków narodowych i wszystkie te obowiązki spełniać będzie ochoczo i wytrwale, z własnej wolnej woli, z własnego serca.

Obowiązki te zaś są bardzo liczne i różnorodne. Wobec nieustannych zamachów na nasze prawa, na dobre imię narodu polskiego i na jego stan posiadania, powinniśmy wszyscy wieść życie nienaganne pod względem etycznym, zawodowym i towarzyskim, pracować usilnie nad swą kulturą osobistą tak, aby nasze zalety osobiste stawiały nas na czele najdoskonalszych typów ludzkich Europy. Chociaż nam do tego ideału jeszcze daleko, to jednak przy wrodzonej pojętności i szlachetnych skłonnościach natury polskiej osiągnąć go będziemy mogli bez trudności.

Gdziekolwiek spotkamy się z zarzutami robionymi naszemu narodowi, tam powinniśmy bronić go słowem i pismem, powinniśmy silnie reagować na wszelkie krzywdy i uchybienia i żądać należnego nam poszanowania; błędy zaś narodowe tak często spostrzegane przez innych, a dla nas ukryte powinniśmy dokładnie zbadać i sposobami najodpowiedniejszymi zwalczać i usuwać. Podnieść tu można fakt ważny, że często nawet w najbardziej zjadliwych krytykach, podyktowanych widocznie tylko zamiarem szkodzenia i wyrządzenia przykrości, zawarte jest drobne ziarno prawdy, które dla człowieka mądrego może się stać cenną i użyteczną wskazówką na przyszłość.

Bardzo doniosłym obowiązkiem naszym jest unikanie życia nad stan tak w domu, jak i zagranicą, unikanie rozrzutności połączonej często z zamiarem imponowania hojnością i szykiem ludziom obcym, którzy się na to złapać nie dadzą i najczęściej w duchu człowiekiem marnotrawnym nawet pogardzają. Zagranicą po-

---

— Nic nie myślę. I nic teraz ostatecznego nie powiem. Straszyć nie chcę i obiecanek-cacanek nie lubię. Może wystarczy. Może nie wystarczy. Dobrze miarkować i wymiarkować trzeba. Ale-że zrobię wszystko, co w możności człowieczej jest, o tem panie upewniam, bo przecież to nie dla kogoś tam jednego, ale i dla szczęśliwości publicznej robota.

Lubiła czasem Czernisia mówić górnie i tę „szczęśliwość publiczną" jakoś tak sama sobie wymyśliła, bo ilekroć dwa te wyrazy wymawiała, stawała się trochę rozrzewnioną i zarazem uroczystą.

— O nożyczki proszę....

— Są! są. Oto są! Moja Czernisiu, moja złota, miarkuj, rozmiarkuj!

Ciężar nam wszystkim z piersi spadł. Już kiedy Czernisia czemś się zajmie i o coś się postara....

Przy naszym stole z krajaniem swojem zmieścić się nie mogła, więc gdy przy bocznym stoliku, różne fraszki i fatałaszki z niego zdjąwszy, nad górą barankowych futerek stanęła, to zdawać się mogło, że różowe tło pokoju przerznęła kresa czarna i długa, u szczytu w kropkę ze sterczącym ku górze ogonkiem zaopatrzona.

Milczenie na długo różowy pokój zaległo; tylko w nim osiem par rąk z igłami w palcach — to podnosi się nad pochylone głowy, to opada, i dwoje nożyc, to otwiera się, to zamyka, aż czasem zgrzyta. Nożyce Wincusi działają w tempie spiesznym, Czernisi w powolnym, ostrożnym. Patrzymy czasem na nią, gdy czynność krojenia na chwilę zawieszając, przypatruje się rozłożonej na stole sztuce baranków, wzrokiem ją przemierza, z palcem do ust przytkniętym rozmyśla, rozważa i dobra nadzieja do serc nam wstępuje.

Nadzieja! Tej pełne byłyśmy nietylko co do oszyć u kwadratowych czapek. Najróżniejszemi głosy śpiewała ona w wiośnianych głowach naszych, które dotąd czubkami fryzur zaledwie wychyliły się na świat zawodowy, okrutny, i w sercach naszych gorących, aż wrzących, które brzegami warg zaledwie ostrych brzegów pucharu jego dotknęły.

„O młodości....
Śnie na kwiatach,
Śnie mój złoty"....

Czemże są kwiaty młodości? marzeniem, co więdnie w jesieni. Czem jej złoto? Nadzieją, co w ogniu życia topione, po drogach jego z serca wycieka.

Za oknami szary deszczyk marcowy mży i mży; z przeciwnego końca domu dochodzą czasem brzmienia męskich głosów niewyraźnie i na długo milkną. Cisza.

W ciszy różowego pokoju o jaskrawości trzech kolorów, na wszystkie strony rozrzuconych, rozległ się przyciszony, z głębokiem, piersiowem brzmieniem, głos kobiecy, który mówić zaczął:

„O, matko Polko, gdy u syna twego
W źrenicach błyszczy genjuszu świetność,
Jeśli mu patrzy z czoła dziecinnego
Dawne Polaków duma i szlachetność"....

Z robotą i rękoma na kolanach opuszczonemi, z bladem czołem, naprzód nieco podanem, Klemunia Boniecka mówiła wiersz, wszystkim nam dobrze znany, przez wszystkie prawie na pamięć umiany. Nie deklamowała, — mówiła. Mówiła powoli, zcicha, spokojnie:

„Wcześnie mu ręce okręcaj łańcuchem,
Do taczkowego każ zaprzęgać woza:
By przed katowskim nie zbladnął obuchem,
Ani się spłonił na widok powroza".

Mówiła powoli, zcicha, spokojnie. Tylko w głębokim jej głosie pobrzmiewały czasem nuty bólu i smutku, a w siwych źrenicach, które z pod wypukłego czoła kędyś w oddali tkwiły, płonął ogień spokojny, równy, silny.

„Zwyciężonemu za pomnik grobowy
Zostaną suche drewna szubienicy,
Za całą sławę krótki płacz kobiecy,
I długie, nocne rodaków rozmowy"....

U szyi jej, na czarnym staniku połyskiwała ramka stalowa, obejmująca portret Kościuszki.

Szyć nie przestając, wiersza na pamięć umianego słuchałyśmy tak, jak gdybyśmy po raz pierwszy w życiu go słyszały: z przyśpieszonem biciem serc, z wilgocią na rzęsach. Hrabina westchnęła głośno; może o swoich dwóch synkach malutkich pomyślała. Oktunia szepnęła:

— Mój Stasik maleńki!...

Eliza Orzeszkowa.

(Ciąg dalszy nastąpi).

winniśmy zachowywać się godnie ale skromnie, żyć gospodarnie i rozsądnie, uczyć się na każdym kroku tego, co w danym kraju najlepsze, a potem spostrzeżenia i wzory zebrane jak najrozumniej dla dobra Ojczyzny zużytkowywać.

Przy silnej u nas skłonności do marzeń i dążeniu do ideałów wzniosłych, ale nieziszczalnych w danych warunkach, powinniśmy wyrabiać w sobie i w swem otoczeniu **zdrowy realizm**, polegający na gorliwem spełnianiu obowiązków narodowych w teraźniejszości i w danem otoczeniu, chociaż stosunki i ludzie, wśród których żyjemy, dalecy są od doskonałości, przez nas lub przez innych wymarzonej. Wrodzone nam miłowanie wielkich ideałów ludzkości nie powinno nigdy stać w drodze powolnego rozwoju i postępu, dającego się zapewnić małymi ale rozumnie zastosowanymi środkami. To też każdy z nas powinien pracować wytrwale nad rozwojem swego najbliższego otoczenia, zakładu lub przedsiębiorstwa, w którem pracuje, — nad ulepszeniem urządzeń miasta, okolicy i kraju w którym żyjemy i t. p. Pole dla takiej działalności jest u nas otwarte, bo tak wiele mamy rzeczy do zrobienia i do poprawienia —

Z dziedziny obowiązków materyalnych, w życiu dzisiejszem niezmiernie doniosłych, podnieść należy najpierw obowiązek poświęcenia swych sił i zdolności pracy produktywnej i dla społeczeństwa użytecznej, obowiązek tak rozsądnego i oszczędnego prowadzenia gospodarki, aby nasze zasoby rosły z rokiem każdym i nie dostawały się do rąk naszych licznych wrogów.

Gdy zaś życie i losy każdego z nas związane są ściśle z życiem całego społeczeństwa polskiego, gdy stanowisko i zasoby nawet najwybitniejszych jednostek są w znacznej mierze zależne od dobrobytu i kultury całego narodu, należy się temu narodowi materyalne poparcie każdej jednostki i to nie tylko w postaci datków na cele dobroczynne, oświatowe i t. p., ale też w postaci dobrowolnie na się przyjętego **podatku narodowego**, który składać się powinno corocznie na cele ogólno narodowe, nie dające się w swej różnorodności z góry określić, do rąk odpowiednich Towarzystw Narodowych.

Rodacy zaś zajęci jako urzędnicy publiczni, członkowie rad, Sejmu i parlamentu powinni strzedz na każdym kroku praw i interesów narodu polskiego, szczególniej też jego mienia, czuwając ściśle nad wydatnością, oszczędnością i uczciwością gospodarki publicznej, usuwając przestarzałe urządzenia i systemy, wprowadzając konieczne ulepszenia w administracyi i w urządzeniach technicznych, stwarzając przedsiębiorstwa podnoszące wartość i zasoby kraju w przyszłości, unikając wszelkich wydatków nieuzasadnionych, karząc bezwzględnie opieszałość, lekkomyślność i nieuczciwość w służbie publicznej. I w tym dziale gospodarki publicznej mamy wdzięczne pole do ulepszeń i reform, wydatność bowiem ekonomiczna naszych urządzeń publicznych jest niezmiernie mała, to znaczy, że one wymagają zbyt wielkich wkładów i kosztów utrzymania w stosunku do wyników, jakie osięgają.

Gdyby w gospodarce publicznej używano tego samego sposobu zestawienia bilansów rocznych, co w przedsiębiorstwach kupieckich i przemysłowych, z uwzględnieniem Kapitałów zakładowych i obrotowych, kosztów zarządu i produkcyi, rachunku zysków i strat, gdyby nadto obliczono w przybliżeniu, ile społeczeństwo płacić musi za to, co państwo, kraj lub gmina nazywa „dochodem“ np. z podatków pośrednich, ceł i akcyzy — towtedy zobaczylibyśmy, jak strasznie ciężary dźwigamy i jak wiele sił twórczych narodu naszego marnujemy.

Do obowiązków narodowych zaliczyć też należy troskę o kształcenie młodzieży i całego społeczeństwa polskiego do życia zawodowego i publicznego w niesłychanie trudnych i przykrych warunkach naszego bytu narodowego, które wymagają od nas daleko więcej energii, mądrości, zręczności i działalności, a niżeli od innych ludów; a tymczasem kształcenie to odbywa się dotąd sposobami zastarzałymi i naszym potrzebom nieodpowiadającymi.

Oto kilka uwag o głównych obowiązkach narodowych — może czytelnicy zechcą uzupełnić je własnymi poglądami.

2. „Nie używaj w kraju obcych języków; żądaj aby każdy mieszkaniec ziem polskich używał naszego języka i żądaj wszędzie polskich napisów“.

Wezwanie to dotyczy ochrony praw naszego języka, stanowiącego jeden z nielicznych skarbów, jakie nam z lepszej przeszłości pozostały. Musimy się oczywiście z tem liczyć, że język polski nie jest światowym i że z tego powodu musimy się uczyć także języków nowoczesnych bardziej rozpowszechnionych, na czem zresztą nic nie tracimy. Ale owe pomocnicze języki obce, jak np. niemiecki, rosyjski, angielski i francuski nie powinny być nigdy używane w celu porozumienia się z innymi mieszkańcami ziem polskich, przeciwnie obstawać powinniśmy bezwzględnie przytem, by każdy z nich musiał się języka naszego nauczyć, jeżeli wśród nas żyć pragnie.

Niezawodnie błądziliśmy pod tym względem nieraz bardzo ciężko, szczególniej w Galicyi, gdzie do dziś jeszcze miękkość i przesadna delikatność Polaków skłania ich do przemawiania lichą niemczyzną do tak zwanych żydów i kolonistów niemieckich, a w Galicyi wschodniej do używania narzecza małoruskiego w rozmowie z wieśniakami, nawet polskimi!

Temu drobnemu na pozór zaniedbaniu przypisać można niebezpieczne dla nas panowanie języka i żargonu niemieckiego u żydów galicyjskich, którzy przez kilkaset lat korzystali z gościnności i opieki polskiej, ale nie zdołali się wyuczyć języka swych dobroczyńców w tym stopniu, aby go używali jako języka potocznego!

O napisach niemieckich i ruskich na sklepach polskich w Galicyi mówiono już nieraz na wiecach i pisano w dziennikach, można się więc spodziewać, że już wkrótce nastąpi oczyszczenie miast naszych z tych niemiłych naleciałości.

(C. d. n)

Listy do Redakcyi „Straży Polskiej“.

I.

Szanowna Redakcyo! Choć jestem przekonań „czerwonych“, rewolucyjnych, niepodległościowych i hołduję P. P. S-owi“, choć „ogół“ uważa nas za „nie Polaków“, zajmuję się gorąco wszystkim co polskie, nasze i nam drogie, bo nam bliskie, a więc i mową ojczystą. Tak myślą wszyscy, prawdziwi polscy socyaliści! Czytając ostatnie numery „Straży“, — a będąc duszą oddany bojkotowi „prusaczyzny“, uważnie ją czytuję, — zauważyłem, że mowę naszą krystalicznie czystą i wspaniałą zachwaszczono „obconaleciałościami“; nic dziwnego, tak czynią niestety wszystkie dzienniki na-ze, bez różnicy przekonań, lecz szkoda, że czyni tak nawet „Straż“ Polska. Nie dochodźmy do przesady, lecz wyrzucajmy co można i trzeba. „Kącik językowy“ powinien przeglądać wszystkie artykuły i wykreślać niepotrzebną, a dającą się zastąpić swojszczyzną — cudzoziemszczyznę. Wartoby było, aby Sz. Redakcya poruszyła na swych łamach sprawę nieczystości i niejednolitości naszego języka dziennikarskiego i literackiego. Proszę o to w imieniu Dobra Narodowego, gdyż co nas trzyma? — Język! A więc musimy oczyścić go i zaczerpnąć nowe posiłki ze skarbów naszych przelicznych gwar i narzeczy. Jeno trzeba chcieć, a „patryotom“ się nie chce chcieć! Oj, ospali my i gnuśni... Oto w Nr. 24 r. b. widzę typowych reprezentantów a nie polskich przedstawicieli, biblioteki zamiast książnice, księgozbiory, dalej spotykam uniwersytet, gdy mamy polską wszechnicę i uczelnię wyższą, rosyjski wyraz „ministerstwo“ utarty u Galicyan, a nie naszą końcówką „ministeryum“, w nagłówku „Straży“ widnieje administracya i prenumerata, a nie zarząd i przedpłata; w Nr. 25 znachodzimy: ortografię zamiast pisowni, produkcyę zamiast wytwórczości, jest kolonizacja, a nie osadnictwo, informowanie, a nie powiadamianie, sekcja zamiast wydział, rezultat zamiast wynik, referat zamiast sprawozdanie, rezolucya zamiast uchwały, konkurować zamiast współzawodniczyć, elementem zamiast żywiołem, pierwiastkiem, składnikiem, emigrować zamiast wychodzić, materyał zamiast tworzywo, motorów zamiast silników, architekci zamiast budowniczowie, procent zamiast odsetek itd. W ogłoszeniach (nie jak „dziko“ zwą niektóre galicyjskie dzienniki — „inseratach“) widzę reprodukcye zamiast naśladownictwa, odtwory.

Teraz chciałbym wspomnieć o jednej jeszcze rzeczy, którą mogłaby Szanowna Redakcya przedstawić Zarządowi Tow. „Straży Pol“, mianowicie o istnieniu wielu tworzyw, które powinny mieć zbyt we wszystkich trzech zaborach. Naprzykład: my bardziej uprzemysłowieni od Galicyi powinniśmy dostarczać tego, co się u nas wytwarza, a co Galicya sprowadza z zagranicy; taka lista wytworów zamiennych powinna być sporządzoną przez „Straż polską“. Naprzykład mam w tej chwili na myśli wielką fabrykę ołówków i kredek Majewskiego i Sp, a takiej Galicya nie posiada, lub naszą fabrykę mebli giętych „Wojciechów“, podczas gdy Wy bierzecie meble wiedeńskie. Wasz syndykat rolniczy krakowski (niezły patryotyzm (?) w kraju polskiego samorządu), zamawia obecnie narzędzia rolnicze od hakatysty z Grudziądza; niechby zamówił pod zaborem pruskim lecz w polskiej fabryce lub w warszawskiej „Grodzkiego“ i innych. Silniki (motory) bierzecie pewno niemieckie, a tymczasem ja wiem o fabryce silników W. Adamczaka w Opalenicy w Poznańskiem. Galicya znów może zarzucić Rosyę, Litwę i Królestwo swym wspaniałym „Okocimerem“ naprzykład, lub mydłem lwowskiem glicerynowem, w rodzaju angielskiego (takiejże jak ono dobroci) z fabryki „Tlen“ i wielu innemi przetworami swymi.

Nakoniec poprosiłbym znawców języka z „Kącika językowego“, aby odpowiedzieć raczyli na moje następujące pytania w najbliższym numerze „Straży polskiej“, mianowicie — czy wyrazy polskie przezemnie wymienione mogą wejść w skład ogólnej polszczyzny i czy są dobrze przezemnie pomyślane: 1) depozytaryusz — wkładoodbiorca, 2) depozytor — wkładowiec, (narówni chyba uprawniony jak ugodowiec, postępowiec itd. 3) dekorator — przyozdabiacz 4) elewator — wznośnica, 5) oberluft — nadokiennik, 6) informator — powiadamiacz, objaśniacz, 7) respirator — oddychacz, 8) kwestyonaryusz — zapytajnik, 9) prospekt — zapowiedź, 10) sztuka piękna — twórstwo, 11) herpetologia — gadoznawstwo, 12) elektrodynamometr — prądomierz, 13) epidometrya — płaszczyznomiernictwo, 14) elektroterapeutyka — elektrolecznictwo, 15) obserwator — spostrzegacz (awca), 16) obserwatoryum — dostrzegalnia, 17) zecer — układacz, 18) rekord — wyczyn, 19) taksometr — płacomierz, 20) koepterologia — chrząszcznictwo, chrząszczoznawstwo (jak krajoznawstwo), 21) kompleks — zgrupowanie (np. domów), 22. rynsztok — ściek, 23) rafinerya — oczyszczalnia, 24) ratusz — radnica (czeski wyraz). 25) pretendent — rościciel, 26) pluwiometr, udometr — deszczomiar, 27) pneumatometr — oddechomiar, 28) akustyka — odgłośnia, odgłosie, 29) anemometr — wiatromierz, czy wiatromiar, 30) adjutant — przyboczny, 31) archeologia — starożytnictwo,-32) archeolog — starożytnik. Szacownej odpowiedzi „Kącika“ i odpowiedzi Redakcyi w sprawie mych licznych, a zdaje się ważnych pytań, oczekuję w najbliższym numerze „Straży“.

Pozostaję z głębokim szacunkiem dla wydajnej pracy Sz. Redakcyi i „Towarzystwa Straży“.

„Pepesowiec z Warszawy“.

Od redakcyi.

List powyższy wydrukowaliśmy z małemi zmianami. Wykreśliliśmy mianowicie parę drobnych ostrych wyrażeń, które nielicowały ze stanowiskiem „Straży Polskiej“, jako instytucyi stojącej poza stronnictwami, mającej zadanie łagodzić, a nie drażnić.

Poruszona przez p. Pepesowca myśl handlu zamiennego między trzema dzielnicami Polski, nie jest dla nas nowa.

W statucie „Straży Polskiej“ pomiędzy środkami, jakiemi ma ona dążyć do celu, znajduje się: „Zawiązywanie stosunków handlowych z innemi ziemiami polskiemi“. W tym celu porozumiewaliśmy się niejednokrotnie z Poznaniem i Warszawą. Na naszych plakatach bojkotowych wskazywaliśmy te fabryki Królestwa i Księstwa, których wyroby wybornie zastąpią towar obcy, a zwłaszcza pruski. Popieraliśmy między innemi wspomnianą przez p. P. fabrykę ołówków i kredek Majewskiego i mamy przekonanie, że sporo wpłynęliśmy na ich zbyt w Galicyi.

Ale nie wszystko da się wprowadzić. Cło i różnica cen są tu decydujące. Tak np. ceny fabryki mebli „Wojciechów“ zamykają jej drogę do Galicyi — a cóż dopiero gdy do tych cen przyszłoby cło doliczyć? Odwrotnie ów „Okocimer“ galicyjski, nazwany „wspaniałym“ przez autora listu, próbowano wprowadzić w Warszawie i nie udało się. Cena jego po ocleniu była za wysoka. Wprawdzie Warszawa przepłaca

„pilznera“, ale to pilzner, światowa sława, a zwłaszcza reklama!

Spis dokładny wyrobów Królestwa i Wielkopolski, któreby się dały wprowadzić do Galicyi (i odwrotnie) byłby bardzo pożądany. Ale to praca wielka i kosztowna, bo tu nie idzie tylko o wykaz fabryk, ale o zbadanie wartości ich wyrobów, o porównanie cen, o obliczenie należytości cłowych itd. Niestety „Straż Polska“ nie ma ani ludzi mogących oddać się całkowicie tej żmudnej pracy, ani sił finansowych, dających jej możność zamówienia takiego spisu. Sprawę tę powinna podjąć „Liga pomocy przemysłowej“, jako mająca środki ku temu.

Ale i taki spis nie poradzi, jeżeli sami przemysłowcy nie wezmą się do dzieła. Co komu przyjdzie z wiadomości, że to lub owo wyrabiają w Królestwie, jeżeli tego w Galicyi nie dostanie, jeżeli fabrykant wyrobu tego nie wprowadza, nie oddaje go na skład kupcom galicyjskim, a choćby oddawał, nie ogłasza gdzie jego wyroby nabyć można. Interes swój zrozumiało w Królestwie zaledwie kilka fabryk (Majewski, Wasilewski, Malinowski itd.) i te też, poparte przez „Straż Polską“, lub dobrze reklamowane (jak np.: mydła



Wycieczka „Straży Polskiej“ do Niepołomic. Uroczystość sypania kopca grunwaldzkiego.

(Objaśnienie na końcu numeru w kronice „Straży Polskiej).

i wyroby toaletowe Malinowskiego), cieszą się w Galicyi uznaniem i powodzeniem. [1])

Co do uwag p. Pepesowca, tyczących się czystości języka, z prawdziwą przyjemnością witamy jego miłość mowy ojczystej, ale musimy go przestrzedz przed przesadą.

Prawda, że nie powinno się używać wyrazów obcych, jeżeli mamy własne zupełnie im odpowiadające. Lecz są wyrazy obce, które uzyskały zupełne prawo obywatelstwa, są dla wszystkich zrozumiałe. Do takich należą np. uniwersytet, konkurencya, materyał, referat, procent, biblioteka, architekt itp. Co więcej, niektóre z nich w przekładzie polskim, albo niezupełnie dobrze myśl oddają, albo mało są upowszechnione, a stąd niezrozumiałe. Referat a sprawozdanie to nie jedno i to samo: można mieć referat nie będący sprawozdaniem. W referacie np. o potrzebach szkolnictwa może nie być całkiem sprawozdania. Rezolucya a uchwała, to również rzeczy odmienne — rezolucya to żądanie, życzenie, — dlatego też się rezolucye uchwala (uchwalać uchwały?) Biblioteka wyraz przez wszystkie języki używany — książnica nowotwór mało przyjęty. Uniwersytety mieliśmy i mamy, nazwa to tradycyjna — jeżelibyśmy mieli ją spolszczyć, to należałoby mówić raczej Szkoła główna (jak zwano Uniwersytet Jagielloński w końcu XVIII w. i jak nazwano uniwersytet w r. 1862 w Warszawie) a nie wszechnica. Architekt to stopień wyższy niż budowniczy — budowniczych jest wielu, a architektów mało. Co to jest materyał każdy rozumie, a tworzywo, to wyraz ukuty, zupełnie niewprowadzony, stąd niezrozumiały. To samo siłnica zam. motor.

Co do wyrazów przez p. P. „pomyślanych“, niektóre z nich już mają prawo obywatelstwa jak np. ściek (rynsztok) starożytnik (archeolog) — inne jednak musiałyby długo czekać na to, aby się przyjęły. Wątpimy, aby sztuki piękne zastąpiono kiedy twórstwem, obserwatoryum dostrzegalnią. Ratusz, nazwa stara, tradycyjna, stał się już wyrazem polskim, — na radnicę nikt go nie zamieni. Więcej przyszłości mogłyby mieć przed sobą wyrazy techniczne, spolszczone przez p. P-a, ale trzebaby je wprowadzać tylko przez słowniki wyrazów technicznych — należałoby przeto udać się do ich wydawców i do stowarzyszeń technicznych.

[1]) Na wystawie podczas zjazdu techników we Lwowie były pięknie zastąpione firmy Majewskiego i Wasilewskiego.

Zresztą na pomysły p. P-a zwrócimy uwagę Poradnika językowego, który prawdopodobnie swój sąd o nich wyda.

Dodajemy jeszcze, że chociaż wyrazy obce szpecą język, to przecie nietyle go psują, co obce zwroty, na których wyplenienie kładziemy główny nacisk w naszym „Kąciku językowym“. *Red.*

II.

Jak stworzyć przemysł

(dyskusya).

Pod powyższym tytułem ukazał się w maju r. b. w *Straży Polskiej* artykuł p. Chrościckiego, na który chciałbym kilka słów odpowiedzieć, a zniewala mię do tego tylko okoliczność, iż w powyższym celu zamierza zakładać nowe towarzystwo, podczas gdy rzecz sama da się przeprowadzić w ramach zakreślonych przez istniejące już stowarzyszenia jak n. p. „Straż Polską“ i „Polską Ligę Narodową“.

Do urzeczywistnienia bowiem myśli zasadniczej poruszonej przez p. Chrościckiego, potrzeba nie specyalnego stowarzyszenia, ale pewnego koła osób ożywionych myślą i gorącą chęcią poparcia za wszelką cenę przemysłu czysto polskiego.

Przecież nie w inny sposób jak tylko agitacya między konsumentami utrwaliło społeczeństwo polskie byt cukrowni przeworskiej. I to jest jedyną droga do stworzenia polskiego przemysłu.

Społeczeństwo polskie musi znać dokładnie towary wyrabiane przez polskich wytwórców, musi agitować za kupnem tylko tych towarów i w ten sposób poprzeć wyłącznie polską produkcyę.

Wedle mego przekonania każde z wymienionych wyżej towarzystw odda polskiej produkcyi ogromną przysługę, jeśli w łonie swem utworzy osobną komisyę, któraby wyszukiwała towary przez polskich producentów wytwarzane i przetwarzane, a podając je do wiadomości ogółu inicyowała gorącą agitacyę, by tylko ten polski towar kupowano. W tej agitacyi pomocne mogłyby być inne stowarzyszenia polskie o jakichbądź celach, byleby tylko tworzyły nowe grupy osób agitujących za polskim towarem.

Przy takiej akcyi z pewnością małą rolę odgrywać będzie mała zwyżka ceny polskiego produktu w razie, gdy tenże na razie nie może konkurować w cenie z produktem niepolskim.

Na niesumienność producenta znalazłaby się zawsze rada w stworzeniu nowego polskiego ogniska tej gałęzi produkcyi.

Lecz do całej tej akcyi trzeba zapału płynącego z miłości ojczyzny i potrzeba świadomości, że konsument kupując polski towar spełnia czyn patryotyczny, akt poparcia polskiego przemysłu, którego powstanie i wzrost leży w rękach tylko polskich konsumentów. *Dr. St. Korytko.*

Z naszego przemysłu i bojkotu.

Bojkot towarów niemieckich. Czytamy w *Kuryerze Warszawskim* Z nadesłanych nam przez jednego z naszych prenumeratorów okólników przekonywamy się, że w Krakowie — w sercu uczuć polskich — w miesiącu lipcu, w którym gród ten razem z całą Polską tak wspaniale obchodził rocznicę zwycięstwa pod Grunwaldem — syndykat rolniczy krakowski w okólniku swym proponuje ziemiaństwu nabywanie maszyn rolniczych firmy niemieckiej w Grudziądzu. Ponieważ syndykat ten posiada filję swą we Lwowie, nie omieszka zapewne i tam przyczynić się do rozwoju zbytu wyrobów niemieckich.

Postępek syndykatu krakowskiego nie jest by-

najmniej odosobniony, posiadamy bowiem podobny okólnik domu handlowego „I. Szafrański i Sp.“ w Krakowie, który również zaleca maszyny niemieckie.

Czem sobie objaśnić ten zwrot tak nagły? Przecież jeszcze niedawno w wystawowych oknach magazynów krakowskich widzieliśmy ogłoszenie: „Wstęp niemieckim ajentom handlowym wzbroniony“.

Ponieważ postępek, bądź co bądź, tak poważnej firmy, jaką jest syndykat rolniczy, daje zły przykład i niewątpliwie musi być przez inne firmy naśladowany, zasługuje tedy na tem większą naganę.

Przy tej sposobności zaznaczamy, że wspomniana firma grudziądzka jest nawskróś hakatystyczna i należy do związku H. K. T., i że syndykaty rolnicze u nas, posiadając wszelkie maszyny rolnicze, ze źródeł niemieckich nie korzystają.

Od 6 lat istnieje w Krakowie na Zwierzyńcu (poprzednio na Woli Duchackiej) fabryka wyrobów Dyetycznych wyrabiająca przednie gotowe ciasta do pieczenia, galaretki owocowe, puddingi, cukier waniliowy, sos waniliowy, i proszek drożdżowy; wszystko znakomite, bardzo łatwe do przechowania, gdyż w stanie stałym czysto i hermetycznie opakowane.

Wyroby te były badane przez komisyę zdrowia i fizykat miejski, i uznane za zupełnie naturalne, czyste i zdrowiu nie szkodzące. Oprócz tego fabryka otrzymała za swe wyroby złote medale i liczne uznania na wystawach krajowych i zagranicznych.

Wślad jednak za temi uznaniami postępowała konkurencya pozakrajowa, przeważnie pruska, podając publiczności podobne wyroby wprawdzie w znacznie gorszym gatunku, lecz popierając je natomiast bardzo energiczną, i sztuczną reklamą.

Szczególnie na dwa artykuły rzucono się bardzo zajadle, mianowicie na proszek drożdżowy i galaretkę owocową, używając podobnego znaku fabrycznego, jaki się znajduje na opakowaniu fabryki krajowej. Kto jednak ciekawy, łatwo przekonać się może, że proszek drożdżowy, wyrabiany przez ową konkurencyę, wywiązuje znacznie mniej gazu kwasu węglowego, czyli mniej pędzi ciasto zarobione, wszystkie zaś galaretki zawierają jednakową masę, do której są dodane kapsułki lub flaszeczki z eterem nadającym różne smaki i farbę.

Konkurencya nie troszczy się o to czy jej galaretki lub puddingi w ten sposób sporządzane są zupełnie zdrowe i czy mogą być bez obawy spożywane.

Powinno być więc rzeczą publiczności odrzucać wprost te sztuczne preparaty, pochodzące od naszych nieprzyjaciół, nawet swym wyglądem wstręt budzące, a nabywać jedynie czysty naturalny wyrób krajowy.

Tem bardziej teraz, po uroczystościach grunwaldzkich, które wykazały, iż umiemy szanować swą narodowość i uczucia, bez względu na wszelkie granice powinniśmy wzbudzić w sercach naszych choć trochę zamiłowania do własnej pracy i produkcyi, aby stać się równie mocnymi ekonomicznie jak nasi wrogowie. Precz zatem z wyrobami pruskiemi wogóle, a między nimi z preparatami pp. Oetkera, Hermana, Kraty, i t. p.

Początki Banku przemysłowego. Na posiedzeniu Rady miejskiej lwowskiej zabrał głos r. Szafrański który przedewszystkiem zwrócił uwagę, że w ostatnich czasach powstają tak liczne instytucye, „popierania przemysłu“, że gdyby przemysł tak się rozwijał jak one, toby żadnego poparcia nie wymagał. Jeżeli tak nie jest, powód leży w osobliwem popieraniu przez nie przemysłu krajowego. Najjaskrawszym zaś tego przykładem jest oddanie urządzenia nowego „Banku przemysłowego“ obcym. Sprawa się tak miała, że pięćdziesięciu kilku stolarzy lwowskich zgłosiło się do dyrekcyi Banku, ofiarując się objąć roboty. Dyrektor Banku dał odpowiedź za trzy dni, mianowicie ofiarował na pięćdziesięciu kilku stolarzy do rozdziału 8 biurek i 3 stoły!... czego naturalnie nie przyjęto, a Dyrekcya Banku oddała dostawę przedsiębiorcy, który znów porobił zamówienia we Wiedniu. Mimoto dotychczas jeszcze niedotrzymano terminu, choć od niego tydzień minął, więc nie byłoby nieszczęścia, gdyby także wobec krajowych przemysłowców stosowano mniej ściśle żądanie dotrzymania terminu. Mówca więc prosił prezydenta miasta, jako członka Rady nadzorczej „Banku przemysłowego“ o wyjaśnienie tej sprawy.

Zarazem mówca poruszył sprawę drugą, dotyczącą tego samego Banku. Oto „Bank przemysłowy“ sfinansował dotychczas jedno przedsiębiorstwo, mianowicie „Sokolnicki i Wiśniowski“ a jak słychać sfinansował na rzecz... Prusaków!

Wobec takich początków „Banku przemysłowego“ można się obawiać, że pieniądze miejskie dane na ten Bank są zmarnowane i że lepiejby ich miasto użyło na poparcie przemysłu we własnym zarządzie.

Prezydent p. Ciuchciński oświadczył w odpowiedzi, że ta sprawa jest „bardzo przykra“. Mówcy na jego interpelacyę dyrektor Banku p. Karłowski oświadczył był, że „stolarze nie chcą zobowiązać się do żadnego terminu“. Później, kiedy wyszło na jaw, że przedsiębiorca, któremu oddano dostawę, był właściwie podstawiony przez przemysłowców wiedeńskich, mówca próbował interweniować u dyrektora p. Karłowskiego i u prezesa Rady nadzorczej, ale ani jednego, ani drugiego znaleść nie mógł. Sprawę więc poruszy na najbliższem posiedzeniu Rady nadzorczej Banku.

Początki zaiste piękne. „Straż Polska“ występując przeciw założeniu Banku w spółce z Niemcami, nie przypuszczała jednak, aby nawet w takim kierunku Bank popierał Niemców i Prusaków.

Rzecz godna uwagi. Przed tygodniem kupiłem w handlu, na rogu ulicy Wiślnej, obok plant, pakiet zapałek szwedzkich z załączoną tu etykietą. („Wyrób galicyjski. Zapałki szwedzkie Fabryka Regina, w Sidzinie pod Krakowem“). Ze zdumieniem znalazłem w pakiecie, po rozdarciu opakowania, dziesięć pudełek z napisem: „Beste Sicherheits-Zündhölzchen ohne Schwefel. Gramophon“.

Co to znaczy? Wszakże to na oszustwo zakrawa! Może też zarząd fabryki „Regina“ w Sidzinie, ujmie się za sobą.

Załączam i etykietę z opakowania i pudełko zapałek. *Cz. P.*

Kronika literacka.

Hołd Grunwaldowi.

O albumie „Hołd Grunwaldowi“, wydanemu staraniem „Straży Polskiej“, wszystkie pisma wydały nadzwyczaj pochlebną, czasem nawet prawie entuzyastyczną opinię.

Gdybyśmy chcieli przedrukować wszystkie sprawozdania i wzmianki, musielibyśmy poświęcić na to przynajmniej cały numer naszego miesięcznika. Dlatego też poprzestajemy na kilku drobnych wyjątkach.

Słowo Polskie, osobny artykuł pióra dra St. K. p. t. „Dwa albumy jubileuszowe“ poświęca albumowi poznańskiemu (Grunwald, szkic historyczny Jasława z Bratkowa) i albumowi *Straży Polskiej*. O pierwszym wspomina krótko, o naszym pisze trzy razy więcej. Podnosi oba „artykuły programowe“ (wstępne), które nazywa „pięknemi i pełnemi szczerego patosu“. Następnie wylicza i omawia wszystkie inne artykuły, zwracając uwagę na „wybór staranny i udatny“. Sprawozdanie kończy się słowy: „Piękne ilustracye, z których niejedne reprodukowano w albumie poraz pierwszy, ich niecodzienność i trafność doboru — są niemałą zasługą redaktora albumu; wespół z podniosłą i wartościową treścią utrzymaną na poziomie nauki, czynią „Hołd Grunwaldowi“ śliczną pamiątką jubileuszową, do której czytelnik powróci zawsze chętnie, aby podnieść i nasycić ducha“.

Również osobny artykuł o naszym albumie podał *Tygodnik Illustrowany*. Rozpoczyna go od zapewnienia, iż „na czele wydawnictw wielkiej rocznicy poświęconych, stoi bezsprzecznie album „Hołd Grunwaldowi“. Następuje szczegółowe wyliczenie i omówienie artykułów umieszczonych w naszym albumie. Koniec sprawozdania brzmi: „W dziale ilustracyjnym zużytkowano starannie mniej więcej wszystko, co do dziejów Grunwaldu zużytkować było można; bogactwo ilustracyi zasługuje na podniesienie, jak również obejmująca całość stylowa oprawa.

„Album ten możemy śmiało polecić czytelnikom naszym jako trwałą i cenną pamiątkę wielkiej rocznicy“.

Prócz tego *Tygodnik illustrowany* podaje podobiznę oprawy i przedruk z naszego albumu wiersza Konopnickiej: „Hołd Jadwidze“.

Głos Narodu podaje obszerną notatkę i zapowiada iż umieści osobny fejleton, poświęcony „tej niezwykle pięknej i podniosłej publikacyi“. Wysoko podnosząc część literacką albumu, dziennik ten oddaje „najwyższe uznanie również części ilustracyjnej“. Nie mniej chwali oprawę, druk i papier. Całość nazywa „wykwintną, przynoszącą zaszczyt wydawcom“. Kończy wyrażeniem nadziei, iż „każdy dom patryotyczny zaopatrzy się w to niezwykłe wydawnictwo, będące najpiękniejszym hołdem literackim złożonym Grunwaldowi“.

Oświata ludowa, organ Towarzystwa „Oświaty ludowej“ podaje treść tego „wspaniałego ilustrowanego albumu pamiątkowego, wydanego staraniem wysoce zasłużonej pod względem narodowym „Straży Polskiej“. Po przytoczeniu treści Oświata ludowa dodaje: „Kilkadziesiąt rycin, często bardzo artystycznych i niepospolitych, wraz z dużą kolorową odbitką z obrazu Jana Matejki „Bitwa pod Grunwaldem“ zdobi tę nader okazałą i obszerną książkę. Wśród wszystkich wydawnictw grunwaldzkiego roku jest zapewne księga p. t. „Hołd Grunwaldowi“ zarówno pod względem treści literackiej i rysunkowej, jak i formy zewnętrznej najwyborniejszą i najpiękniejszą“.

Czas podnosi wartość niepospolitą kilku artykułów tej „sympatycznej publikacyi“. Jest ona, według niego, z wydawnictw grunwaldzkich „rozmiarami największa, pod względem typograficznym i ilustracyjnym zasługująca na wszelkie uznanie“.

W podobny sposób o naszym albumie wydały swą opinię *Rola*, *N. Reforma*, *Nowiny*, *Gazeta Powszechna*, *Kurjer lwowski*, *Dzień* (warszawski) itd. itd. [1])

Bronisław Gustawicz. Atlas geograficzny dla szkół średnich. Nakład autora, skład gł. w księgarni F. Himelblaua. Kraków 1910.

Zasłużony geograf i kartograf, prof. Bronisław Gustawicz, obecnie dyrektor szkoły realnej w Żywcu, przysłużył się prawdziwie młodzieży naszej tym atlasem. Składa się on z 39 map kolorowych, czysto wykonanych w krakowskim zakładzie litograficznym A. Pruszyńskiego. Atlas rozpoczynają dwie mapy astronomiczne, potem idą planigloby i mapa kolonialna i komunikacyjna. Dalej mamy na osobnych kartach 5 części świata (przy Europie i Palestynie) przedstawione osobno fizycznie i politycznie. Dalsze mapy szczegółowo traktują części Europy również pod względem fizycznym, a osobno politycznym. Dwie mapy poświęcone są Galicyi i Bukowinie, a ostatnie przedstawiają okolice Lwowa i Krakowa.

Atlas ten wybornie zastąpi atlas wiedeński Kozenna, używany w naszych szkołach średnich. Jest od niego lepszy, dla naszej młodzieży odpowiedniejszy i znacznie tańszy (5 K. zamiast 8 K. Kozenna). Należy i to podnieść, że zasłużony jego autor starał się o czyste, naukowo uzasadnione imiennictwo geograficzne.

Kronika „Straży Polskiej“.

Podczas lata „Straż Polska“ urządziła kilka wycieczek do Niepołomic w celu sypania kopca grunwaldzkiego. Podajemy dziś „zdjęcie“ z jednej z tych wycieczek. Fotograf chcąc, aby widać było pracę koło sypania kopca, wybrał tę chwilę kiedy większa część wycieczki już się oddaliła i przez to odsłoniła kopiec i sypiących ziemię.

Inicyatywa „Straży Polskiej“ wydała dobre wyniki. W każde święto i w każdą niedzielę urządzają różne stowarzyszenia wycieczki do Niepołomic i kopiec zaczyna przybierać już poważne rozmiary.

Dwutygodniowa wycieczka „Straży Polskiej“ do Warszawy i Wilna (ze zwiedzeniem Sandomierza, Kazimierza, Puław, Lublina, Wilanowa, Płocka i Kowna) wyrusza dnia 17. września. W wycieczce bierze udział tylko dwadzieścia kilka osób, gdyż z 40 zapisanych kilkanaście cofnęło swój udział w obawie przed cholerą. Ta obawa jest dość zabawna, gdyż Galicya znajduje się znacznie bliżej epidemii (Podole rosyjskie, Węgry, Wiedeń) niż Warszawa i Wilno. Raczej mieszkańcy Warszawy i Wilna powinni się obawiać przebywania w Galicyi — a Galicyanie uciekać przed cholerą... do Warszawy.

W Podwysokiem pod Stanisławowem na obchodzie grunwaldzkim przemawiał zaproszony w tym celu delegat „Straży Polskiej“ p. Bogdan Krzystofowicz. W godzinnej gorącej mowie roztoczył przed chciwie chwytającymi każde słowo słuchaczami obraz dziejów Polski-męczennicy od chwili Grunwaldu po dzisiejszą dobę, wskazując w wyrazach z serca do serc płynących obowiązki, od których spełnienia zależy zmartwychwstanie Ojczyzny i nowy Grunwald.

Dnia 11. września odbył się świetny obchód Grunwaldzki w Poroninie. Była to jedna z najpiękniejszych uroczystości, jakie kiedykolwiek w podtatrzańskich stronach widziano.

Nie podajemy opisu tego obchodu, gdyż było ich setki, a nie mamy miejsca na obszerne z nich sprawozdania. O obchodzie poronińskim wspominamy jedynie dlatego, że komitet do jego urządzenia powstał z inicyatywy upoważnionego w tym celu delegata „Straży Polskiej“ p. Juliana Bartoszewicza i że na obchodzie wygłoszono mowę w imieniu „Straży Polskiej“.

[1]) „Hołd Grunwaldowi“ mogą nabywać nasi prenumeratorzy po cenie dla nich wyłącznie zniżonej (4 K, z przesyłką 4 K 50 h.). Żądać należy w biurze „Straży Polskiej“, Kraków, Floryańska 1.

Wezwania Ligi Narodowej.

P. L. N. jest **„Związkiem Polskim“**, niezawisłym od stronnictw politycznych, stanowych lub wyznaniowych, dążącym do budzenia i utrzymywania świadomości narodowej, poczucia łączności i wspólności interesów wszystkich rodaków, Towarzystw i organizacyi polskich, do wszechstronnego podniesienia dzielności, dobrobytu i prawdziwej kultury Narodu, zbierającym środki pieniężne na cele ogólno narodowe i spełniającym odpowiednio do sił i poparcia najważniejsze zadania programem swym określone.

Towarzystwo to działa w porozumieniu ze „Strażą Polską“ w Krakowie i dlatego ogranicza swe działanie do Lwowa i Okręgu wschodniego naszego kraju.

Rodacy, nie zapominajcie o tem, że w narodzie tak zagrożonym jak nasz, każda jednostka chętna do działania, każdy grosz na cele obrony naszego bytu poświęcony, ma swe znaczenie dla dobra ogółu, pamiętajcie, że obojętność i ociąganie się szkodzi sprawie narodowej i zniechęca inne jednostki, chętne i zdatne do pracy — więc, nie czekając na wielkie, porywające czyny, wstępujcie wszyscy w nasze szeregi jako członkowie czynni, spełniając jako pierwszy swój obowiązek złożenie podatku narodowego na rzecz P. L. N., który dobrowolnie, odpowiednio do swego dochodu rocznego ustanowicie.

Roczny podatek narodowy na rzecz P. L. N. wynosić powinien około $^{1}/_{500}$ części dochodu, czyli 2 kor. od 1000 kor. Najniższa wkładka roczna 2 korony. Członkowie płacący 6 lub więcej koron otrzymają organ Towarzystwa *Straż Polską* bezpłatnie. — Pocztowy rach. czekowy l. 114.853.

Do Członków Ligi!

Każdy członek Ligi powinien pozyskać dla naszego Towarzystwa jednego lub więcej nowych członków — wtedy szeregi nasze wzmogą się o tysiące świeżych zwolenników i staną się najcenniejszym, bo żywym i twórczym pomnikiem grunwaldzkim!

Do Komitetów i Delegatów Ligi!

Prosimy o samodzielne szerzenie idei przewodnich P. L. N. w swych okręgach i o nadsyłanie sprawozdań, wkładek zebranych i wniosków swoich wprost do Biura skarbnika Ligi, (Lwów, Czarnieckiego 3).

Tamże są do nabycia pocztówki P. L. N. z „wezwaniami narodowemi“. 30 kart za 1 kor.

Datki na fundusz budowy domu P. L. N. prosimy nadsyłać wprost do biura skarbnika we Lwowie. Na zawiązek tego funduszu przeznaczył Wydział Tow. kwotę **1000** koron.

Odniemczenie Galicyi.

Szanownych delegatów Ligi Narodowej prosimy o uważne przeczytanie sprawozdania z Wiecu, dotyczącego odniemczenia naszego kraju i o **postawienie odnośnych wniosków** na Wiecach lub obchodach polskich, jakie się w danym okręgu w najbliższym czasie odbędą.

Uchwały takich zebrań należy wysłać przez Zarząd P. L. N. do „Koła Polskiego“.

Z powodu wyjazdu na czas letni członków redakcyi *Straży Polskiej*, sierpniowy jej zeszyt wyszedł ze znacznem opóźnieniem. Zeszyty za wrzesień i październik wyjdą razem w podwójnej objętości.

ZAMKNIĘCIE RACHUNKÓW
TOWARZYSTWA WZAJEMNYCH UBEZPIECZEŃ W KRAKOWIE.

Rozchód. Rachunek zysków i strat z działu ogniowego za czas od 1. stycznia 1909 do 31. grudnia 1909 r. **Przychód.**

	Rozchód	K	h	K	h
I.	Szkody i koszta likwidacyi wypłacone	7,105.068	19		
	mniej zwrot od Towarzystw kontr-asekuracyjnych	2,086.231	02	5,018.837	17
II.	Ogólne wydatki zarządu po potrąceniu prowizyi kontrasekuracyjnej			2,282.638	63
III.	Odpisy i inne wydatki			1,611.602	88
IV	Rezerwa na szkody nieuregulowane	1,273.622	85		
	mniej udział Towarzystw kontrasekuracyjnych	350 295	26	923.327	59
V	Stan funduszów z końcem roku 1909	15,856.429	10		
	mniej kontrasekuracya	1,324.447	06	14,531.982	04
VI.	Pozostałość			1,083.489	68
				25,451.877	99

	Przychód	K	h	K	h
I.	Fundusze przeniesione z r. 1908	15,916.878	51		
	mniej kontrasekuracya	1,351.770	96	14,565.107	55
II.	Fundusz na szkody nieuregulowane przeniesiony z r. 1908	981.846	76		
	mniej kontrasekuracya	251.894	61	729.952	15
III.	Zebrana premia	12,289.317	51		
	mniej kontrasekuracya	3,311.117	63	8,978.199	[illegible]
IV.	Przychód z lokacyi kapitałów			476.978	04
V.	Inne przychody			701.640	37
				25,451.877	99

Stan czynny. Rachunek bilansu z działu ogniowego z dniem 31. grudnia 1909 r. **Stan bierny.**

	Stan czynny	K	h	K	h
I.	Stan kas z dniem 31 grudnia 1908			414.774	15
II.	Rozporządzalne należytości w instytucyach kredytowych i kasach oszczędności			1,541.603	13
III.	Realności			1,850.000	—
IV.	Papiery wartościowe według kursu z dnia 31 grudnia 1909			9,683.995	71
V.	Weksle w portfelu			205.239	36
VI.	Salda czynne rachunków z Towarzystwami kontrasekuracyjnemi			1,955.798	90
VII.	Zaległości w agenturach i filiach (salda czynne)			2,302.119	58
VIII.	Różni dłużnicy			2,589.722	27
IX.	Efekta kaucyi agentów			558.605	[illegible]
				21.101.858	36

	Stan bierny	K	h	K	h
I.	Fundusz rezerwowy			7,494.268	31
II.	Fundusz na zwroty			197.892	34
III.	Fundusz wyrównawczy i specyalny			3,075.684	84
IV.	Fundusz na różnicę kursu			68.627	85
V.	Rezerwa premii	4,927.080	05		
	mniej kontrasekuracya	1,324.447	06	3,602.632	99
VI.	Rezerwa na szkody nieuregulowane	1.273.622	85		
	mniej kontrasekuracya	350.295	26	923.327	59
VII.	Fundusz emerytalny			2,814.947	60
VIII.	Salda bierne rachunków z Towarzystwami kontrasekuracyjnemi			198.706	[illegible]
IX	Różni wierzyciele			365.907	68
X.	Kaucye agentów			558.605	26
XI.	Fundusze			717.767	40
XII.	Pozostałość			1,083.489	68
				21,101.858	36

Rozchód. Rachunek zysków i strat z działu gradowego za czas od 1. stycznia 1909 do 31. grudnia 1909 r. **Przychód.**

	Rozchód	K	h	K	h
I.	Szkody i koszta likwidacyi wypłacone	1,800.973	29		
	mniej zwrot od Tow. kontrasekurac.	649 600	71	1,151.372	58
II.	Ogólne wydatki zarządu po potrąceniu prowizyi kontrasekuracyjnej			199.223	19
III.	Odpisy i inne wydatki			26.289	18
IV.	Fundusz na szkody nieuregulowane			41.064	75
V.	Stan funduszów z końcem r. 1909			3,052.724	67
				4,470.674	37

	Przychód	K	h	K	h
I.	Fundusze przeniesione z r. 1908			2,834.529	95
II.	Zebrana premia	1.668.617	72		
	mniej kontrasekuracya	549.845	14	1,118.772	58
III.	Fundusz na szkody nieuregulowane przenies. z r. 1908			11.214	11
IV.	Przychód z lokacyi kapitałów			103.850	41
V.	Inne przychody			104.811	25
VI.	Niedobór			297.496	07
				4,470.674	37

Stan czynny Rachunek bilansu z działu gradowego z dniem 31. grudnia 1909 r. **Stan bierny.**

	Stan czynny	K	h	K	h
I.	Rozporządzalne należytości w instytucyach kredytowych i kasach oszczędności			33.673	85
II.	Papiery wartościowe według kursu z dnia 31 grudnia 1909			2,563.599	99
III.	Weksle w portfelu			138.664	89
IV.	Salda czynne rachunków z Towarz. kontrasekuracyjnemi			159.688	69
V.	Różni dłużnicy			34.421	76
VI.	Pożyczka z funduszu rezerwowego			304.547	23
VII.	Niedobór			297.496	07
				3,532.092	48

	Stan bierny	K	h	K	h
I.	Fundusz rezerwowy			2,820.627	77
II.	Fundusz wyrównawczy i specyalny			191.711	76
III.	Różni wierzyciele			316.356	33
IV.	Fundusz na zwroty			5.635	14
V.	Fundusz na szkody nieuregulowane			41.064	75
VI.	Salda bierne rachunków z Towarzystwami kontrasekuracyjnemi			47.231	30
VII.	Fundusze			74.715	43
VIII.	Fundusz na różnicę kursu			34.750	—
				3,532.092	48

Kraków, dnia 31. grudnia 1909 r.

DYREKCYA:
M. Garapich. Ig. Głażewski. Paszkowski.
Naczelnik centralnego biura rachunkow.: *Wiktor Gablenz.*

KOMISYA RACHUNKOWA:
M. Dydyński. A. Wodzicki. K. Dzieduszycki.
M. Urbański.

Rozchód. Rachunek zysków i strat z działu życiowego za czas od 1. stycznia do 31. grudnia 1909 r. **Przychód.**

	Rozchód	K	h	K	h
I.	Wypłaty płatnych ubezpieczeń i rent	3,341.562	95		
	mniej udział Tow. kontrasekurac.	190.623	55	3,150.939	40
II.	Wypłaty na wykupione police	414.376	01		
	mniej udział Tow. kontrasekurac.	3.661	63	410.714	38
III.	Dywidenda ubezpieczonym wypłacona			252.715	70
IV.	Ogólne wydatki zarzadu			973.376	21
V.	Odpisy i inne wydatki			120.787	96
VI.	Rezerwa na bieżące wypłaty szkód	648.926	37		
	mniej udział Tow. kontrasekurac.	122.516	75	526.409	62
VII.	Stan funduszów z końcem roku rach.	34,777.093	36		
	mniej udział Tow. kontrasekurac.	681.803	48	34,095.289	88
VIII.	Zysk			533.497	02
				40,063.730	17

	Przychód	K	h	K	h
I.	Przeniesienie funduszów z roku poprzedniego	34,377.107	68		
	mniej udział Tow. kontrasekurac.	1,240.784	52	33,136.323	16
II.	Rezerwa na wypłatę nieuregulowanych szkód z roku poprzedniego	457.817	90		
	mniej udział Tow. kontrasekurac.	7.500	—	450.317	90
III.	Zebrane premie	4.747.580	91		
	mniej udział Tow. kontrasekurac.	110.528	64	4,637.052	27
IV	Przychód z lokacyi kapitałów			1.701.671	19
V.	Inne przychody			138.365	65
				40,063.730	17

Stan czynny. Rachunek bilansu z działu ubezpieczeń na życie z dniem 31. grudnia 1909 r. **Stan bierny.**

		K	h	K	h
I.	Zapas kasowy			50.391	96
II.	Rozporządzalne należytości w instytucyach kredytow. i kasach oszczędn.			289 249	48
III.	Realności			540 014	85
IV.	Papiery wartościowe według kursu z dnia 31 grudnia 1909			6,488.406	50
V.	Pożyczki hipoteczne			10,694.006	31
VI.	Pożyczki na własne police			4,459.794	48
VII.	Pożyczki stowarzyszeniom			13.408.292	11
VIII.	Pożyczki ubezpiecz. na zastaw pensyi			344.456	40
IX.	Salda czynne rachunków z towarzystwami kontrasekuracyjnemi			21.757	83
X.	Zaległości w agenturach i filiach			531,268	36
XI.	Różni dłużnicy			213.409	22
XII.	Efekta kaucyjne			14.477	51
				37,055.525	01

		K	h	K	h
I.	Rezerwa zysków, kapitałów			3,716.206	64
II.	Fundusz na różnicę kursu			79.674	[illegible]
III.	Rezerwa i przeniesienie premii			30,090.786	11
IV.	Rezerwa na nieuregulowane szkody			526 409	[illegible]
V.	Fundusz niepodniesionej dywidendy			208.622	77
VI.	Salda bierne rachunków z Towarzystwami kontrasekuracyjnemi			34.923	85
VII.	Różni wierzyciele			1,171.760	92
VIII.	Różne kaucye			14.477	51
IX.	Fundusz emerytalny			679.166	21
X.	Zysk			533.497	02
				37.055.525	01

Kraków, dnia 31. grudnia 1909 r.

DYREKCYA:

M. Garapich. **Ig. Głażewski.** **Paszkowski.**

Naczelnik działu ubezpieczeń na życie:
E. Szancer
rządowo autoryzowany technik asekuracyjny.

Naczelnik biura rachunkowego:
A. Szyszklewicz.

KOMISYA RACHUNKOWA:

K. Lipowski. **St. Dydyński.** **K. Cieński.** **Dr. E. Kamieński** **K. Bzowski.**

Podział zysku.

		Dział ogniowy		Dział gradowy		Dział życiowy	
I.	Dywidendy	1,021.632	84	—	—	265.958	68
II.	Uposażenie funduszów	61 856	84	—	—	267.538	34
	Razem	1,083.489	68	—	—	533.497	02

Czcionkami Drukarni Związkowej w Krakowie (ul. Mikołajska L. 13) pod zarządem A. Szyjewskiego.